Nr. 30. Warszawa, dnia 26 (14) Lipca 1890 r. Rok X.

PRAWDA

FILOZOFIJA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NAJŚWIEŻSZE OBJAWY.

Z pewnością za daleko posuwają się ci, którzy twierdzą, że ropień polityczny, zbierający od tak dawna na półwyspie Bałkańskim, już dojrzał i niedługo pęknie; ale też nie ulega wątpliwości, że on w swym rozwoju posunął się znacznie. Z ostatnich tygodni mamy wiązkę objawów, które wyraźnie o tem świadczą. Naprzód wypadki w Bułgaryi. Rozstrzelanie Panicy przyjęto bądź z uznaniem, bądź z pozorną obojętnością, ponieważ jednakże w tym fakcie objawiła się śmiała energia tych, którym nakazano pokorę, więc świat dyplomatyczny zdradził pewne zaniepokojenie. Z tym powodem złączyły się inne: Stambułow wystąpił do Porty z bardzo stanowczemi przedstawieniami, między któremi miała się zawierać bez omówień wskazana potrzeba uznania Koburga; łączne z tą sprawą szepty odbywały się między Belgradem a Wiedniem, który zwrócił się widoczniej w kierunku życzeń i zamiarów Stambułowa; nareszcie książę A. Battenberg wyraził się niepochlebnie o straceniu Panicy, swym „dzielnym towarzyszu broni,“ a w Bułgaryi natychmiast odezwały się echa niewygasłej dla niego sympatyi. Wszystkie te znamiona czasu nie miałyby wielkiej wagi, gdyby jednocześnie nie było aż nadto jawnem, że Stambułow postanowił rozpalić żelazo i kuć je, póki gorące.

Z temi oznakami niepokoju związały się zdarzenia w Serbii. Wypowiedziana jej ze strony Austro-Węgier wojna celna musiała oddziałać na usposobienie rządu, a nawet na jego kredyt moralny w kraju. Ludność ufa stronnictwu radykalnemu, nieprzyjaznemu Austryi i pozostającemu obecnie przy władzy, ale ona przedewszystkiem dba o swoje interesy i odczuwa swoje szkody materyalne. Zamknięcie granicy dla serbskiej trzody chlewnej naraziło tę ludność na nieobliczone straty, a skutkiem tego wywołało w niej niechęć do rządu. Jeden z publicystów zrobił surową, ale słuszną uwagę, że „kto w Serbii bije świnie, bije radykałów.“ Stanowią one bowiem główne bogactwo i główne źródło ekonomiczne narodu; rząd przeto, który swą polityką odpływ tego źródła zatamuje, popularnym być nie może. Nie z prostego przypadku i dla gry wszelkich szans pozbawionej, pokonany i wyparty przywódca liberałów (stronników Austryi) pojawił się znowu na polu walki; nie bez ukrytej intencyi przybył również za nim ex-król Milan; nie bez podstawy również zaczęła odzywać się wieść o uplanowanym przez niego zamachu stanu. Dla ułagodzenia go potwierdzono ostatecznie jego rozwód z żoną, ale Milan nie opuszcza kraju i dodaje otuchy żywiołom z obecnego kierunku polityki niezadowolonym.

Chociaż Czechy nie leżą w geograficznym obrębie półwyspu Bałkańskiego, ale ich drgnienia oddziaływają na jego ruchy. Otóż tam zbliża się ku końcowi głęboka przemiana wewnętrzna. W jednym z dzienników ogłoszono list Riegera, ujawniający zupełne zwątpienie i zapowiadający zupełne usunięcie się od spraw politycznych tego męża stanu. Rieger skarży się na rozprzężenie w narodzie, który opuścił swoich przewodników i bieży w niepewną przyszłość na oślep, przewiduje zgubne następstwa tej rozsypki politycznej, ale jej przyczyn nie tłomaczy. I my sięgać badaniem aż do tych przyczyn nie będziemy, stwierdzimy tylko niewątpliwy fakt, że firma staroczeska, oparta na związku z Austryą, zbankrutowała i że ufność narodu przeniosła się do młodoczeskiej. Czy i o ile usprawiedliwi nadzieje, pokładane w tej ostatniej, jej szef Gregr — przesądzać dziś trudno. To tylko już dziś wiadomo, że ani umysłem, ani charakterem, ani doświadczeniem nie dorównywa on swemu przeciwnikowi, którego zwyciężył — Riegerowi. Nie należymy bynajmniej do wielbicieli hetmana staroczechów, ale musimy mu przyznać rozległą wiedzę, wybitny talent polityczny, rozwagę i trzeźwość. Tymczasem w Gregrze tkwi kawał zuchwałego warchoła, a przytem lekkomyślnego trybuna. Niektóre wystąpienia jego lub jego brata w *Narodnich Listach*, które mogliśmy poddać krytyce i ocenić, świadczyły po prostu albo o świadomie złej woli i przewrotności, albo o zadziwiającej w publicystach i politykach niewiadomości. Ani zaś giętkie sumienie, ani głupota nigdy jeszcze nie doprowadziły do wielkiego celu.

Ale na dziś mniejsza o to. Obchodzi nas bowiem głównie fakt przeradzania się wewnętrznych stosunków czeskich, który wywrze wpływ na zewnętrzne.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

50 metrów — wyraźnie pięćdziesiąt metrów drogi, po której przejechały cztery koła, a na nich jeden człowiek, stanowi dziś kwestyę, zajmującą gabinety i dzienniki europejskie. Nieprawdopodobne a prawdziwe. Pewnego dnia papież, chcąc odwiedzić pracownię artysty, rzeźbiącego wizerunek św. Tomasza, wyjechał za obrąb Watykanu i 50 metrów przebył ulicą należącą do terytoryum włoskiego. O tem dowiedział się natychmiast minister spraw wewnętrznych, następnie minister spraw zagranicznych, a wreszcie świat cały. W niezgłębioną przepaść domysłów rzuciły się rozumy z pytaniami: czy to wyjście z „dobrowolnego więzienia“ było umyślnem, czy przypadkowem, czy oznacza zmianę polityki Watykanu, czy też nie będzie miało dalszych skutków. Jest nad czem głowę łamać, a mamy nadzieję, że rezultat tych dociekań wynagrodzi ich trudy udowodnieniem, że wprawdzie Leon XIII przebył owe 50 metrów po terytoryum włoskiem, ale wyjny z Włochami nie zaprzestanie.

Ks. Bismark gada. To upodobanie, zdaje się, nieprędko go znudzi. Od chwili, gdy „pustelnik z Friedrichsruh“ zlajał dziennikarzy niemieckich za to, że go nie prosili o rozmowę, cisną się do niego tłumem. Znowu przyjął i obdarzył pełną torbą zwierzeń jednego

z redaktorów drezdeńskich. Książę ma wiele do opowiedzenia, zapasy wszakże jego tajemne zaczynają się wyczerpywać, obdarza bowiem odwiedzających go, jak żebraków, markami na półbułki, które już inni dostali.

Cesarz Wilhelm z Norwegii ma przybyć do Belgii, która obchodzi uroczyście podwójny jubileusz: 25-lecie panowania króla Leopolda i 60-lecie swej niepodległości. Monarcha belgijski prawością i ściśle konstytucyjnymi rządami zjednał sobie szczere przywiązanie narodu, który też uczcił go odpowiednio.

Porta, zamianowawszy dla Macedonii trzech biskupów bułgarskich, zobowiązała sobie wielu bułgarów, a zarazem podparła mocno Stambułowa, który fakt ten zapisuje na rachunek zasług własnych. Jakkolwiek ten Bismark bułgarski zaprzecza, ażeby nosił się z myślą ogłoszenia niepodległości kraju po powrocie Koburga, miał on lub ma jakieś daleko sięgające zamiary. Sprawozdawca *XIX siècle* miał rozmowę z ks. Ernestem Koburskim, który jakoby (francuzi lubią zmyślać) wyznał mu, że Stambułow jest terorystą gotowym rozstrzelać lub powiesić każdego, ktoby spiskował przeciw rządowi, że Ferdynand straciwszy na swych rządach 7½ milionów franków majątku, wbrew radom rodziny, wraca do Sofii, ażeby dopilnować swego odszkodowania, że wyzywa on przeciw sobie niebezpieczeństwo, które go ukarze nad winę itp. Ażeby to mówił stryj o synowcu — wątpimy.

Sąd wojenny w Londynie skazał ze zbuntowanego batalionu grenadyerów trzech żołnierzy na 2 lata, dwu — na 18 miesięcy więzienia.

Rząd brazylijski ciągle tłumi spiski i ciągle mu wyrastają nowe. Dotąd utrwalić on się nie może.

Dr. Peters, awanturniczy podróżnik niemiecki, ogłoszony za zabitego, przybył do Zanzibaru z pełną kieszenią traktatów, którymi, po dowiedzeniu się o ogólnym układzie anglo-niemieckim, będzie musiał sobie fajkę zapalić.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ROZKAZ NAJWYŻSZY.

(Dokończenie).

Nowy plan nauk.

Kurator warszawskiego okręgu naukowego otrzymał od ministra oświecenia komunikat, datowany 24 czerwca (6 lipca) 1890 roku, który brzmi jak następuje:

„Od czasu wprowadzenia w wykonanie ustawy gimnazyalnej z 1871 r., upłynęło już lat 18. W tym okresie gimnazya nasze pozyskały niemało nowych i lepiej przygotowanych działaczów, piśmiennictwo szkolne wzbogaciło wiele prac, lepiej zastosowanych do potrzeb uczącej się młodzieży, wyjaśniły się dokładniej poglądy na cele i metody wykładu przedmiotów kursu gimnazyalnego, a jednocześnie ujawniły się pewne nieprawidłowości, pewna jednostronność w stosowaniu rozporządzeń ministeryum oświecenia w zakresie szkolnictwa.

Wobec tego ministeryum uznało za właściwe skorzystać z osiągniętych już zdobyczy w zakresie pedagogii, tudzież ze wskazówek długoletniego doświadczenia, iżby nietylko usunąć dostrzeżone nieprawidłowości, lecz wogóle polepszyć naszą naukę gimnazyalną, uczynić ją więcej przynoszącą pożytku i obfitszą w owoce.

W tym celu poruczyłem specyalistom pedagogom przejrzenie zatwierdzonych w 1877 r. planów nauki i programów kursu gimnazyalnego i celem rozważenia ułożonych przez nich projektów planów szkolnych i programów była utworzona w roku 1889 przy ministeryum oświecenia, pod przewodnictwem p. wice-ministra, ks. Wołkońskiego, komisya specyalna, ze specyalistów profesorów i nauczycieli złożona, która z udziałem prawie wszystkich kuratorów okręgów naukowych opracowała nowe plany nauk i programy, oraz wykaz liczby lekcyj tygodniowych.

Opierając się na poglądach i wnioskach owej komisyi, ministeryum oświecenia w marcu r. b. złożyło Radzie państwa projekt odpowiedniej zmiany wykazu lekcyj, dołączonego do ustawy gimnazyalnej z 1871 r., tudzież projekt przedłużenia o dwa tygodnie wakacyj letnich w gimnazyach, oraz szkołach realnych, miejskich i powiatowych.

Następnie, po ostatecznem rozpoznaniu sprawy w Radzie państwa, na podstawie wypowiedzianych tam poglądów, dokonano pewnych zmian w złożonym projekcie i ułożono nowy wykaz liczby lekcyj tygodniowych w gimnazyach, który to wykaz dostąpił zaszczytu Najwyższego rozpoznania przez Najjaśniejszego Pana.

Dołączając do niniejszego dla jw. pana kopię Najwyżej zatwierdzonej dnia 12 (24) czerwca uchwały Rady państwa o zmianie wykazu lekcyj tygodniowych w gimnazyach, tudzież o przedłużeniu o dwa tygodnie wakacyj letnich w gimnazyach, oraz szkołach realnych miejskich i powiatowych, a niemniej dołączając rzeczony wykaz, zaszczycony dnia 12 (24) bieżącego czerwca Najwyższem Jego Cesarskiej Mości rozpoznawaniem, mam honor upraszać jw. pana o wydanie rozporządzenia, iżby nowy rozkład nauk był zaprowadzony z początkiem przyszłego 1890—91 roku szkolnego.

Poczytuję przytem za nieodzowne dać poniższe wyjaśnienia:

1) Wykaz lekcyj powinien być całkowicie zastosowany we wszystkich klasach.

2) Wykład wszystkich przedmiotów powinien być zastosowany do nowych planów nauki i programów, które we właściwym czasie będą przesłane jw. panu, ze zmianami w pierwszych latach, które wskaże ministeryum, oraz które będą uznane za konieczne przez rady pedagogiczne gimnazyów i progimnazyów, za zgodą i zatwierdzeniem jw. pana (p. 4 art: 75 ustawy 1871 r.).

3) Zaraz należy zająć się rozesłaniem wykazów gimnazyom i progimnazyom dla ułożenia rozkładu lekcyj na rok szkolny 1890—91, oraz wyszukaniem, gdzie znajdzie się tego potrzeba, nauczycieli, mogących połączyć wykład rysunku i kaligrafii, lub osobnych nauczycieli każdego z tych przedmiotów.

4) Przy wygotowywaniu rozkładu nauk wszelkimi środkami starać się trzeba o to, iżby wykład języka ruskiego, oraz obu języków starożytnych, szczególniej łacińskiego, przynajmniej w trzech klasach niższych, powierzać jednemu nauczycielowi języków starożytnych, ale pochodzenia ruskiego, zupełnie biegłemu w języku ojczystym i mogącemu wykładać go z powodzeniem.

5) Nowy wykaz lekcyj przeznacza na języki starożytne o 10 godzin mniej w porównaniu z wykazem teraz obowiązującym, co wpłynąć musi na położenie materyalne wykładających owe przedmioty. Należy więc przedewszystkiem dyrektorowi i inspektorowi gimnazyum i progimnazyum, jeżeli mają więcej niż po 8 lekcyj, zmniejszyć ich liczbę na rzecz nauczycieli, a następnie, wedle możności, rozdzielić wszystkie lekcye języków starożytnych w taki sposób, ażeby zmniejszenie liczby godzin było równe, biorąc przytem.

---

2)

KAROLKA.

Dowiedziałam się ze słów jego, iż Karolka pochodzi z bardzo nędznej, nikczemnej rodziny; że ojciec jej umarł z pijaństwa, że matka, naromansowawszy się z żołnierzami, uciekła w świat widocznie daleko, gdyż nikt o niej nie wie; nikt jej już od lat dziesięciu nie widział. Najstarszy brat, Władek, świeżo został wypuszczony z więzienia za kradzież, opisaną nawet po gazetach. Drugi, Józiek, włóczy się z gromadą łobuzów po ulicy i nic nie robi. Wprawia się w drobne, kieszonkowe złodziejstwa, zanim odważy się na większe. Siostra, Stefka, mała— nie wiadomo jeszcze, co z tego wyrośnie.

— Czy pani wie — dodał — kto ich wszystkich utrzymuje? Kto płaci szewcom, u których mieszka Stefka? Kto daje pieniądze Władkowi i Józkowi wówczas, gdy nie mają z czego żyć?

— Wiem, panie — odparłam — że cała pensya Karolki idzie na jej rodzeństwo i to zaparcie się siebie właśnie tak mię dla niej zjednało.

Roześmiał się grubym, żołądkowym śmiechem, robiącym wrażenie nagłego zakrztuszenia. Usiadł na kanapie, tuż przy mnie i do ucha, ciągle śmiejąc się i zacierając ręce, szepnął mi:

— To i pani dobrodziejka, z przeproszeniem, taka naiwna. I pani dobrodziejka dała się złapać na jej dobre serce?.. A toć Antoniewicze, którzy się łapali na to całe dwa lata, gorzko dziś płaczą... Nie zamykali przed nią ani jednej szafy. Kasa stała otworem. Panna Karolina wszystkiem rządziła. Dlaczegóż ją wyrzucili? Żeby był taki anioł, toby byli trzymali. Niedaleko pada jabłko od jabłoni: z łajdackiej rodziny nie może wyrość porządny człowiek, to trudno!.. Albo i ten romans ze Stanisławem...

Przysuwał się coraz bliżej do mnie, opowiadając mi, jakoby miał pewne dane, świadczące, iż Karolka nocą wykrada się do swego kochanka, aby wspólnie z nim ucztować po piwiarniach w mieście za pieniądze z naszej — niby mojej i jego kasy; że bracia Karolki towarzyszą im przy owych ucztach; że razem, wszyscy czworo, obmyślają, jak w krótkim czasie dojść do majątku.

— Niebezpieczna to rzecz, niebezpieczna i śliska mieć u siebie takich złodziejów — dodał, przymrużając oczy, przechylając głowę w bok i kiwając nią znacząco.

— Dlaczegóż pan nie oddali Stanisława? — zapytałam.

— Trzymam go—odpowiedział, trzymam łajdaka, hycla i nie puszczę, aż go na czem dobrem przyłapię, aż mi kryminałem zapłaci za wszystko.

W głowie mi się przewracało. Czułam, że nie powinnam słuchać tego człowieka; czułam oszczerstwo w każdem jego słowie. Pomimo to coś kusiło mię, aby dać mu się wygadać do reszty.

Opowiadał, jakoby Władek miał namawiać Karolkę i Stanisława na ograbienie kas naszych i zniknięcie z dobrze naładowanemi kieszeniami; jakoby ona dotychczas broniła się temu, od tygodnia jednak bardzo i bardzo nad projektem tym zaczynała się zastanawiać...

— Do drobnych kradzieży od dawna już przywykła — dodał. Czy pani możesz się spostrzedz, kiedy w kasie brak rubla lub dwóch, lub nawet pięciu, kiedy duży targ?

Byłby siedział u mnie nie wiem dokąd, gdyby przez okno nie był spostrzegł idącej zwolna po drugiej stronie Karolki, która w zamyśleniu minęła bramę naszego domu.

Zerwał się szybko i pożegnawszy mię krótkim ukłonem, nie zdążywszy nawet wziąć palta na rękawy, zbiegł całym pędem ze schodów na dół.

Wołałam za nim: „Musisz mi pan to wszystko jeszcze przy niej powtórzyć!“

Nie wiem, czy słyszał mię, czy nie, dość, że nic nie odpowiedział.

W sekundę był już na drugiej stronie ulicy.

Karolka, zdawało mi się, weszła do pokoju bardzo zmieszana: musiała spostrzedz Majewskiego, wybiegającego z bramy. „Rę-

oczywiście, w rachubę doświadczenie nauczyciela, jego położenie materyalne, a zwłaszcza pożytek, przynoszony przez jego pracę zakładowi naukowemu. Wogóle jest pożądanem, by zaprowadzenie nowego wykazu wpływało jak najmniej na dobrobyt każdego z osobna nauczyciela języków starożytnych.

6) Co się tyczy wakacyj, to od przyszłego 1891 roku powinny być wszędzie ustanowione na dwa miesiące, w roku zaś bieżącym, z rozporządzenia jw. pana, wakacye mogą być przedłużone do 16 (28) sierpnia w zakładach, których uczniowie byli uwolnieni na wakacye o terminie krótszym.

(Podpisał) Minister oświecenia Sekretarz stanu hrabia *Deljanow*.

LISTY PETERSBURSKIE.

16 lipca.

Narady kongresu karnego i powszechna wystawa więzienna osunęły z przed oczu, a więc i z myśli, niemniej ważną kwestyę—podrzutków. Zmienne wiatry rzucają na łamy gazet wciąż nowe wrażenia, stare więc okrywają się warstwą kurzu — a szkoda! Juźci zjazd karny jest rzeczą dobrą i pożyteczną, lecz rodzi się pytanie: kto bardziej zasługuje na względy społeczeństwa — czy przestępca świadomy (np. choćby ten, co kradnie futra), czy nieświadomy, to jest ten, co urodził się nie podług prawnych przepisów? Bez kwestyi obaj są w warunkach anormalnych. Pierwszy (podług Lombrosa) jest wyrodkiem, drugi (podług praw)—nadrodkiem społeczeństwa. Dlaczegóż pierwszy zajmuje umysły całej Europy, wytwarza zjazdy, wystawy, a o drugim zaledwo odszczepieńcy — moraliści przebąkną słów kilka — i to z racyi Skublińskich itp.?...

A jednak z obowiązku kronikarza toczmy się w kierunku ładownych wozów.

Powszechna wystawa więzienna w Petersburgu — jeżeli patrzyć na nią będziemy jak na zbiór rzemieślniczych wyrobów przestępców lub jako na wzory domów kary w rozmaitych krajach — uczy mało; za to jako przedmiot troskliwości i pieczy całych społeczeństw, mówi nader wiele. Najdobitniejszym mówcą jest w tym względzie oddział francuski. Zebrane tu są wszystkie kary, praktykowane na przestępcach w rozmaitych czasach — więc zębate koła, szarpiące członki, kleszcze, pale itd. Słowem, skoro porównamy sprawiedliwość, choćby XVI wieku z teraźniejszością, łatwo przyjdziemy do wniosku, że ludzkość staje się łagodną i wyrozumiałą — maluczko, a zamiast więzień ujrzymy warsztaty, szkoły, szpitale!.. Jest to nader pięknie... Dlaczegóż tedy ci, co mniej względem społeczeństwa zawinili, to jest jego nadrodki, nie mogą sobie zjazdu wybłagać? Któryż poważny moralista dziś jeszcze nie powtórzy za Cyceronem: „Żałuję dzieci, które cierpią za winy ojców, lecz jest to mądre prawo: miłość ku dzieciom zmusza strzedz interesów państwa..." Czyli — mówiąc inaczej — od wielu setek lat nie postąpiliśmy w tym względzie ani o krok w swych poglądach, a to znaczy, że litościwą ludzkość być umie, lecz sprawiedliwą — niezbyt.

Za najstraszniejszą karę i zemstę społeczeństwa za winę jednostki, uważa się dziś dozgonne, samotne więzienie; rzeczywiście jest to coś okropnego, jest to śmierć za życia — życie w trumnie. Chyba nie znajdziemy tedy tak bezsercowej istoty, coby się naigrawała nad takim więźniem; za to niech cię od urodzenia los rzuci na wieczną samotność — niech cię bez żadnej winy, obedrze z praw i opieki, zamknie do samotnej skorupy — obcy wśród swoich — a mędrcy rzucą ci: „Żałuję dzieci, które cierpią za winy ojców, lecz jest to mądre prawo..."

Przepraszam, szanowny czytelniku, lecz takie myśli tłoczą się do głowy, widząc, że ludzkość jest coraz litościwszą...

Powróćmy jednak na wystawę. Wyliczać przedmiotów nie będziemy; są dobre i złe, gustowne i brzydkie, a nawet tanie i drogie. Jest to kalejdoskop barw i kształtów—zmieniają się nazwy krajów i domów kary — sens pozostaje jednaki: wszędzie więzienie staje się domem pracy, a więc zamiast wieść do rozpaczy i nowych zbrodni, uczy rzemiosł i daje prawny zarobek.

Najsurowsze oblicza mają Nerczyńsk i Sachalin, zajrzmy tam na chwilę.

W dwunastu więzieniach nerczyńskiej *katorgi* znajduje się pod strażą 1,752 ludzi, a mieszkających za obrębem więzienia 1,784. Zajęci są oni przeważnie dobywaniem rudy ołowiu i srebra. W kopalniach złota pracują obecnie tylko wolni ludzie.

Na wyspy Sachalin zaledwie od 1869 r. zaczęto wysyłać przestępców. Kopalni, krom węgla, niema tam wcale. Skazani do ciężkich robót, trudnią się urządzaniem dróg, osuszaniem gruntów, budową morskich portów, młynów itp. i tylko 400 najcięższych przestępców pracuje w kopalniach węgla. Wielkość wyspy równa się Grecyi (1,140 mil kw.). Przedtem kraj był prawie bezludny, jeno po brzegach wód żyła niewielka ilość pół dzikich *gilanów, oroczen* i *ajnów*, żywiących się pierwotnem rybołówstwem i myśliwstwem. Uprawnej ziemi nie było wcale. Do końca 1888 r. zesłanych do ciężkich robót było 5,530 osób, a na osiedlenie 3,306. Gruntu wyrobnego jest obecnie koło 3,000 dziesięcin, zaś koni i bydła więcej, niż 4,000 sztuk. Średnia temperatura w ciągu roku jest trochę niższa zera, najwyższa, jaką zauważono, +33, najniższa zaś — 56⅟₁₀ stopni. Roboty w polu zaczynają pierwszych dni kwietnia, kończą w październiku. Zesłani, krom zajęć w polu, trudnią się rybołówstwem, wogóle niezbyt obfitem, myśliwstwem oraz zbiorem morskiej kapusty, której do Japonii i Chin wywozi się co rok około 54,000 pudów. Po za tem ma znaczenie połów śledzi, których wysuszona ikra idzie na pokarm, zaś z samej ryby przygotowuje się sztuczny nawóz, poszukiwany przez japończyków. Nie trudno tedy wywnioskować, iż Sachalin, jako miejsce wygnania, jest mniej surowem, niż Nerczyńsk, szczególnie jeśli zauważymy, że skazanych tam prawie nie strzegą — juźci z tego powodu, że ucieczka jest prawie niemożebną. W 1888 r. próbowało ucieczki 201 ludzi; pojmano 179, zginęło 3, a tylko o losie 19 niewiadomo. Zważywszy nieprzebyte przeszkody, łatwo wywnioskować, że z tych większa część zginęła w śniegach lub morzu.

N. B.

ŻYDZI GALICYJSCY W OŚWIETLENIU „WOSCHODU."

Przed laty dwoma *) umieściłem w łamach *Prawdy* artykuł, który malował uczucia przeważnej części żydów galicyj-

*) *Prawda*, 1888, nr. 45.

---

ce jej drżały, gdy zdejmowała kapelusz i palto. Zapytała krótko:

— Był tu kto?

Nie miałam czasu zastanawiać się, jak postąpić: czy powiedzieć całą prawdę, czy też zamilczeć chwilowo. Machinalnie odparłam:

— Nie!

Spojrzała mi w oczy gorączkowo, niecierpliwie, badawczo. Nie mogłam znieść tego wzroku: odwróciłam się i przeszłam do drugiego pokoju.

Byłam ogłuszona. W głowie mi się kręciło, w uszach huczało. Nie wiedziałam, co mam myśleć, co robić.

Milczenie zapanowało między mną a Karolką. Nie miałyśmy sobie nic do powiedzenia. Uczułyśmy się nagle zupełnie obce dla siebie. Ja patrzyłam na nią inaczej, niż zwykle; ona musiała instynktownie przeczuć moje myśli, jeszcze niejasno, w głębi których jednak nurtowała nieufność, podejrzliwość, niedowierzanie.

Stanisław nie przyszedł w niedzielę, gdyż tym razem wypadł mu cały dzień służby.

Po obiedzie zostawiłam Karolkę nad jakąś książką, którą chyba nie bardzo czytała, gdyż wzrok jej błądził po kartkach bezmyślnie, odrywając się od nich co chwila.

Wzięłam na siebie palto, kapelusz i wyszłam.

Nie zapytała, dokąd; niespokojnemi oczami jednak odprowadziła mię do progu drzwi.

Słyszałam, jak wstała i zamknęła za mną żelazny rygiel.

Skierowałam kroki na sąsiednią ulicę, postanawiając zajść do Antoniewiczów, aby ich rozpytać o prawdziwy powód odejścia od nich Karolki.

Zastałam Antoniewiczową samą. Gdy wyłuszczyłam jej powód swojego przybycia, wyraziła niemałe zdziwienie, że zgłaszam się do niej tak późno.

Nie umiałam używać wykrętów. To też wprost opowiedziałam o rannej u siebie wizycie Majewskiego, który obudził we mnie pewne obawy co do moralnych zasad Karolki. Dodałam naturalnie, iż ona postępowaniem swojem dotychczas nigdy cienia na siebie nie rzuciła w mojem przekonaniu.

Antoniewiczowa odrzekła mi, iż przez całe dwa lata również z niej była zadowolona. Miała jej tylko za złe skrytość i zamknięcie się w sobie, które to cechy, zdaniem niektórych, nie mogą świadczyć o dobrym charakterze.

— Że bracia jej gałgany — mówiła — to prawda, gdyż jeden z nich, ten, który teraz siedział w więzieniu i mnie kiedyś okradł na niewielką wprawdzie sumę, którą Karolka następnie z pensyi swojej mi zwróciła; bałam się jednak nadal większego złodziejstwa i — przyznaję się przed panią szczerze — było to jedną z najważniejszych przyczyn, które mię do tej dziewczyny zniechęciły.

— A ona sama czy do końca zasłużyła sobie na ufność pani? — zapytałam.

— Co do tego, nie umiem odpowiedzieć dokładnie. Nigdy jej nie kontrolowałam. Pieniądze tak samo, jak i ja, odbierała od kupujących i wkładała do kasy, wyjmując je następnie, stosownie do potrzeby. Czy się na co kiedy nie skusiła — do dziś nie wiem. Po jej odejściu ruch był znacznie mniejszy, więc i dochody już nie takie. Nie mogę pomiarkować, o ile powinno było być więcej w kasie dawniej, niż teraz. Pensyę całą oddawała rodzinie. Nie sprawiała sobie nigdy nic sama. Nosiła to tylko, co ja jej podarowałam...

Przysunęła się do mnie bliżej i, znacznie głos zniżając, dodała:

— Przyznam się pani, że dziewczynie, pochodzącej z takich, jak ona rodziców, nigdy nie należy ufać tak bardzo. Mnie byłoby to do dziś nie przeszło przez głowę, gdyby nie Majewski, który, kto wie, może i w porę mię ostrzegł.

— A skąd Majewski czerpie swe podejrzenia? — spytałam.

— Albo ja wiem? — odparła. Mógł ją poznać lepiej, niż każda z nas: przesiadywał u mnie w sklepie z początku po kilka godzin, aż jej i mnie obrzydł. Ona prosiła, żeby go jej nie wpuszczać, bo tylko czas próżno zabierał. Bardzo ją umiał wyciągać na słówka: może się kiedy przed nim z czem zdradziła... Gdy mię pierwszy raz ostrzegał co do niej, pokazałam mu drzwi, nie chcąc

skich, uczucia, wrogie niestety dla obu plemion słowiańskich, zamieszkujących tę dzielnicę, bo przyjazne, bardzo przyjazne dla niemców i centralistów wiedeńskich. I mimo bezstronności tego szkicu ulotnego, mimo rękojmi *Prawdy*, w której fałdach nikt przecie nie znalazłby pyłów judofobii, strona, rozumie się, interesowana *) wystąpiła z zarzutem, że obraz ów jest karykaturą i błędną i złośliwą. Zarzut ten można było zostawić bez odpowiedzi, ponieważ wiedziałem, że fakta dobitniej, aniżeli słowa, wkrótce zadadzą kłam niesłusznej napaści.

W rzeczy samej miesięcznik ruski *Woschod*, który, jak wiadomo, stokrotnie usilniej popierałby raczej wszystkie inne prądy, niż antisemityzm, przyniósł w zeszycie czerwcowym b. r. nader zajmujący dokument co do germanofilstwa żydów galicyjskich. Nosi on tytuł *List z Galicyi*, a napisał go jakiś żyd lwowski, zasłoniwszy oblicze maską wielce obiecującego pseudonimu „Veritas."

Znamienne i pożyteczne dla nas szczegóły zawiera zwłaszcza druga część listu, gdzie autor rozsnuł opowieść o sporze w łonie tamtejszej gminy izraelskiej z powodu wyboru rabina na miejsce zmarłego dr. Loewensteina. Z jednej strony stanęli ci, którzy żądają od kandydata dokładnej znajomości języka polskiego i kazań w tymże języku; naprzeciw widnieje stronnictwo, oczkujące ku Wiedniowi i popierające duchownych, którzy władają wyłącznie językiem niemieckim. Pierwszym przywodzi stowarzyszenie, znane pod nazwą „Przymierze braci," drugich popycha do boju związek na wskróś niemiecko-centralistyczny, w Franzosie i *Neue freie Presse* czczący swe ideały, a przybrany mianem biblijnem „Sionu."

Otóż p. Veritas ciska gromy na „Przymierze braci" za jego żądania, by rabin stołecznego miasta Galicyi, liczącej przeszło 5 milionów słowian, żydów około miliona, a niemców tylko niecałe trzy setki tysięcy, wygłaszał nauki „w polskiem narzeczu" (*ipsissima verba*). Oburzenie swe na to rzekome zuchwalstwo posuwa tak daleko, że w złośliwy sposób przyczepia członkom stowarzyszenia łatkę bądź to zdrady wobec żydów, bądź to częściowego rozmiękczenia mózgu. Co innego „Sion"! Och, do tego związku należą wyłącznie ludzie mądrzy (zapewne i p. Veritas jest członkiem), roztropni, przezorni, gdyż żądają od kandydata znajomości języka wyższej kultury, to jest niemieckiego.

A teraz proszę o uwagę, przytoczę bowiem dosłowny wyjątek z korespondencyi, wyjątek, dowodzący trafności mych poglądów, wyłuszczonych przed dwoma laty. „Trzeba przyznać — pisze p. Veritas na str. 11 — że tym razem „Sion" ma słuszność, żądając kazań w języku niemieckim; przedstawia bowiem życzenia większości, ponieważ cała masa żydów galicyjskich tego właśnie języka używa, gdy przeciwnie po polsku mówi jedynie nieliczna garść; każdy zaś przyzna, że kazanie powinno być zrozumiałem dla wszystkich." Nie sprawiedliwszego nad to ostatnie; lecz czyż objaśnienie owo nie stwierdza właśnie dostatecznie faktu, że większość żydów tamtejszych przechyla się na stronę niemców, a przez to stanowi żywioł niebezpieczny i rozkładowy dla obu plemion słowiańskich? Przytem należy zapamiętać, że tego szczerego wyznania nie napisał żaden antisemicki świstek, jeno publicysta żydowski w czasopiśmie, wydawanem przez p. A. E. Landau: tych zaś nikt o podrabianie prawdy nie może posądzić.

To też trudno dziwić się dziennikom lwowskim, wydawanym w obu językach, że zajęły wrogie stanowisko wobec dążeń „Sionu," popierając natomiast gorliwie "Przymierze braci", któremu autor nie szczędzi i w dalszym ciągu wywodów zarzutu szowinizmu, a nawet podejrzenia o przymierze z antisemitami (!!!).

W końcu trzeba panu Veritas wytknąć wprost niewdzięczność. Sarkając na „Przymierze braci" za to, że wymaga od rabina znajomości języka miejscowego, wymienia on nieco niżej, jako najgorliwszego obrońcę żydów w parlamencie wiedeńskim, posła "von Gnieweca." Po pierwsze dziwi nas to, że autor przekręcił w sposób tak ohydny nazwisko starego polityka i dawnego przyjaciela żydów, posła Gniewosza, po drugie dziwi nas jeszcze bardziej, że nie wspomniał on o jego narodowości. Ha, być może, iż dyplomatyczny rozum p. Veritas wskazał mu niedogodność pouczenia czytelników, że właśnie z tego społeczeństwa, na które on w korespondencyi swej napadł, powstał szczery obrońca żydów przed Schönererem, Türkiem i innymi Ur-ur-teutonami. Ta dyplomacya przecież — to jeszcze jeden dowód więcej, jak czuje i w jakim podąża kierunku przeważna masa żydów galicyjskich, wobec których stronnictwo, skrystalizowane w „Przymierzu braci," a pragnące zgody z ludnością polską i rusińską, dzisiaj jest niemal zupełnie bezwładne.

Adam Nowicki.

*) Patrz *Izraelitę* z końca 1888 r.

BADANIA NAUKOWE.

KARTKA Z DZIEJÓW FANATYZMU I BEZRZĄDU.

(Dokończenie).

Zajęliśmy się bliżej Łyszczyńskim dlatego, że epizod, którego był bohaterem, poprzedzając chronologicznie sprawę Unruga, służy jej za wykładnik historyczny i wściślejszem, niż którykolwiek inny, zostaje z nią powinowactwie.

Zygmunt Unrug, jako jednostka umysłowa, mniejsze budzi zajęcie, niż Kazimierz Łyszczyński; nie bowiem nie wiemy o jego pracach filozoficznych; ale sprawa sama, w stosunku do tła dziejowego, w równym stopniu historyka zaciekawić może.

Ród Unrugów (Unruh, Unruhe), szeroko rozgałęziony w Niemczech i Czechach, wiedzie podobno początek swój z Alzacyi. Jedna z jego odrośli zagnieździła się w Wielkopolsce. Zygmunt ujrzał światło dzienne w Międzychodzie (Birnbaum), w r. 1676 (mógł zatem, jako młodzieniec trzynastoletni przyglądać się egzekucyi Łyszczyńskiego). Wykształcenie średnie odebrał w Lesznie, wyższe we Frankfurcie nad Odrą. Podróżował następnie po Niemczech, Holandyi, Francyi i Anglii. W 1697 uczestniczył w elekcyi Augusta II. Między r. 1703 a 1709 należał do obozu jego przeciwników i w sprawie odkrycia listów Aurory Königsmark, kompromitujących króla-sasa (wobec narodu polskiego) dość ważną odegrał rolę. Po bitwie półtawskiej składa hołd „Mocnemu" — w nagrodę otrzymuje godność szambelana, a wkrótce potem wstępuje do regimentu księcia Weisenfelda, w charakterze pułkownika wojsk monar-

---

go słuchać. Myślałam sobie, że tylko przez zemstę gada na nią za to, że jej się sprzykrzyło z nim rozmawiać. Przyszedł jednak jeszcze raz i tak się przysięgał, tak zaklinał, żem mu trochę uwierzyła. Aż w końcu — trzeci raz — gdy mi przeczytał w pismach, że brat jej jeden wzięty do więzienia za dużą kradzież, gdy mi dowiódł, że drugi — kieszonkowy złodziej, straciłam ufność. Zaczęłam przed nią zamykać kasę. Odbierałam od gości i chowałam pieniądze sama, myśląc ciągle: licho nie śpi... Trwało tak kilka dni; ona podziękowała mi pierwsza; dziś tego nie żałuję, bo kto wie?.. Licho nie śpi...

Poprawiła się na krześle i przyciszonym głosem, ze znaczącym ruchem ramion, dorzuciła:

— Albo i ten romans ze Stanisławem? Także nic dobrego dla dorastających moich dziewczyn...

Po wyjściu od Antoniewiczowej powstał mi w głowie jeszcze większy chaos, niż przedtem. Już teraz na dobre nie wiedziałam, co myśleć.

Była taka chwila wieczorem, że chciałam opowiedzieć wszystko Karolce i zażądać od niej wytłomaczenia oszczerstw Majewskiego.

Czy ona to odgadła? Czy przejrzała moje myśli? Spoglądała na mnie gorączkowo, wyczekująco, niespokojnie, niczem jednak nie ułatwiła mi początku drażliwej rozmowy.

Po herbacie odeszła mię chęć wyciągnięcia jej na spowiedź. Pomyślałam sobie: na to czas jeszcze... Przez kilka następnych dni postanowiłam nie ruszać się ze sklepu, tylko kontrolować ją uparcie na każdym kroku.

Od samego rana zeszłam z nią na dół, co mi się teraz rzadko przytrafiało, gdyż przy niej pozwalałam sobie zawsze na dłuższą drzemkę. Patrzyłam jej na ręce w chwili, gdy odbierała pieniądze i wrzucała je do kasy. Wieczorem obliczałam dochód.

Ona musiała czuć wzrok mój, utkwiony w nią przez cały dzień; mieniła się bowiem: czerwieniała i bladła; chwilami łzy stawały jej w oczach.

Po zamknięciu sklepu, przy herbacie, spytała, patrząc na mnie przenikliwie:

— Majewski był tu wczoraj?

— Był — odpowiedziałam.

Zbladła, zzieleniała prawie; krew zbiegła z jej twarzy; zesztywniała nagle, przegięła się w tył. Myślałam, że padnie.

— Co tobie? — spytałam.

— Nic, nic — odrzekła. Głowa mię trochę boli; połóż się: to przejdzie.

Pocałowała mię w rękę chłodnemi, odrętwiałemi wargami. Przeszła do swego pokoju i zamknęła się na klucz.

Słyszałam długo odgłos jej kroków: musiała chodzić po pokoju... Koło północy usłyszałam silne stuknięcie, jak gdyby ktoś w bliskości rozbił kawał szkła.

Nie mogłam zasnąć, chociaż byłam zmęczona całodzienną pracą, myślami swemi walką, jaka się we mnie toczyła...

Instynkt mówił mi, że Karolka jest niewinna. Rozum kazał jej się strzedz, powtarzając: "licho nie śpi..."

Dziwnie mi było przykro i ciężko na sercu. Wyrzucałam sobie, że nie postąpiłam z Karolką szczerze, że pozwoliłam wykiełkować w umyśle swoim uczuciu podejrzliwości. Mogłam być matką tej dziewczyny: jeżeli złe nurtowało w niej rzeczywiście, powinnam była ją ostrzedz.

Nie, zresztą nie wierzyłam w to „złe." Chciałam tylko ją wypróbować, przekonać się dokładnie o jej niewinności...

Była taka chwila w nocy, kiedy, zniecierpliwiona bezsennością, zastukałam do drzwi Karolki, chcąc się z nią rozmówić...

Nikt mi nie otworzył: widocznie spała...

— To i lepiej — pomyślałam. Wyjaśnienie odwlecze się. Dokładniej ułożę sobie w głowie to, co mam mówić; a może przecież ona sama wstęp mi do tego ułatwi...

Skrytość jej zniechęcała mię do wszelkich z nią rozpraw. Krótkie, wymijające odpowiedzi, jakie mi zwykle dawała, w tym razie byłyby mię zmroziły zupełnie.

(D. n.).

Cecylia Walewska.

szych. Był to człowiek, oddany wyższej kulturze umysłowej: zbierał cenne książki, odczytywał je pilnie i myśli, godne uwagi, skwapliwie notował. Odznaczał się zapewne niezwykłą wrażliwością, która mu prawdy odczuwanej ukrywać długo nie pozwalała. Należał do dysydentów (kalwinistów), a był jednostką wybitną, zamożną, przyjmującą czynny udział w ruchu społeczno-politycznym. Czyż takiemu wolnomyślicielowi, w epoce najostrzejszego fanatyzmu i rozbujałej anarchii, trudno było na swej drodze spotkać szatana - „Brzozkę"? Znalazł się też niebawem odpowiedni *homunculus* w osobie Andrzeja Potockiego, pisarza gnieźnieńskiego. Dostawszy do rąk, trafem czy podstępnie, książkę rękopiśmienną Unruga, coś w rodzaju zbiorowego *vademecum*, zgorszył się kilku zdaniami, zdradzającemi niechęć ku jezuitom i Augustowi II, a na pierwszy plan wysunął jedną myślą ogólną (skreśloną po francusku), która w oczach ciemnego sądu mogła ujść za antychrześciańską lub co najmniej antykatolicką: „Czyż po to prawda zbawienna z nieba zstąpiła, aby stać się dla mieszkańców naszej planety nieustannym powodem błędu, wojny, nienawiści i rozbratu?" Oskarżyciel wystąpił naprzód z tym zagadkowym dowodem przestępstwa wobec braci szlachty na sejmiku w Środzie. Podziękowano mu za gorliwość o dobro wiary katolickiej i polecono zachować rękopis aż do chwili sądu. Mieszczące w sobie ten punkt szczególny, laudum sejmikowe było groźną dla Unruga zapowiedzią. Wojewoda Radomicki, pod którego opiekę uciekł się oskarżony, pobudza do działania biskupa Tarłę. Pasterz dyecezyalny, jako sędzia w sprawach duchownych, żąda naprzód wydania dokumentów, a otrzymawszy odmowną odpowiedź, rzuca klątwę na Andrzeja Potockiego. Następuje protestacya i wniesienie skargi przed trybunał piotrkowski. W imieniu Zygmunta stanął brat Bogusław. Nic nie pomogła obrona. Oskarżycielowi kazano przysiądz: „jako Unrug książkę przeciw Bogu i wierze katolickiej z rozmysłem ułożył, majestat boski i wiarę katolicką obraził i na karę śmierci zasługuje." Mądra zaiste i głęboko pomyślana rota przysięgi! Gdyby nie świadectwo dziejowe, które za podścielisko całej opowieści służy, możnaby zapytać, czy nie jest to czasem urywek z tragikomedyi, odegranej w szpitalu obłąkanych. Wobec takiego postępowania dziwić się nikt nie będzie, że gremium z 18 osób (duchownych i świeckich) złożone, po krótkim namyśle skazało Unruga, za „obrazę majestatu bożego" na śmierć męczeńską: ręka jego prawa miała być spalona, język tylną stroną, przez kark, wyrwany, a głowa ścięta. Książka „obejmująca bluźnierstwa przeciw Bogu i wierze katolickiej" na rynku piotrkowskim, pod szubienicą, przy odgłosie trąb, ręką „katówki" (w braku kata) na stos rzucona, spłonęła; ale sam przestępca uniknął wymiaru drakońskiej sprawiedliwości, wyjechawszy pośpiesznie zagranicę — na tułactwo, które 11 lat trwać miało. Dobra ziemskie, według prawa, poszły w podział: między skarb i oskarżyciela. Rozłączony z rodziną, wygnaniec podejmuje na obczyźnie długi szereg usilnych zabiegów około własnej rehabilitacyi. Zapukawszy do łaski monarszej, już w roku następnym (1716) odzyskał on połowę majątku w ten sposób, że król August część, przysądzoną Rzeczypospolitej, darował, za odpowiednim przywilejem, bratu skazańca, Karolowi. Inne usiłowania chybiały celu, chociaż Unrug z ogromnym wysiłkiem wszelkie możliwe poruszał sprężyny. „Najjaśniejszy" trybunał, przyswoiwszy sobie raz prawo stanowienia w rzeczach wiary o czci i życiu szlachcica, pozostał niewzruszonym. Wykazanie źródła (dwutygodnika literacko - politycznego *Esprit des cours*), z którego inkryminowany urywek poczerpnięto, żadnej wygnańcowi nie przynosiło ulgi. Nietykło nawiernictwo prymasa, monarchy i nuncyusza, ale nawet głos papieża i Sorbony głuchem odbija się echem o ściany wyroczni piotrkowskiej. Jakie myśli i uczucia napełniały strosknaą duszę odciętego od rodziny i ojczyzny tułacza, możemy mieć wyobrażenie, czytając ogłoszony w r. 1717, wymowny memoryał Unruga (*Relacya dyskretna żałosnej a nieszczęśliwej sprawy*). Nadeszła wreszcie pora zmiłowania. Szlachta na sejmiku w Środzie, poróżniona z trybunałem (który zakwestyonował wybór deputatów wielkopolskich), ujęła się po jedenastu latach (1726) za błądzącym po obczyźnie paryą. Wiec grodzieński na żądanie wielkopolan przywrócił go do czci i pozwolił w królestwie zamieszkać, „pozostawiając jednak na teraz w swej mocy konfiskatę dóbr, przez dekret trybunalski wyrzeczoną." Dalszy los tej sprawy już nas mniej obchodzi. Zawiązuje się ona wraz z konfederacyą tarnogrodzką, a dochodzi do kresu w parę lat po katastrofie toruńskiej. Unrug nie był u nas jedyną ofiarą fanatyzmu i anarchii w danej epoce. Autor wymienia jeszcze pod tą kategoryą: Kehlera, dowódcę wojsk koronnych, „skazanego na wyrwanie języka i śmierć za obelżywe jakieś przeciw duchowieństwu słowo"; Chryzostoma Gorzeńskiego (teścia Unruga), Willenberga, profesora gdańskiego i innych.

Dany epizod dziejowy ze sprawą Łyszczyńskiego dość rażące przedstawia podobieństwo. Tu i tam fanatyzm, chciwość, zawziętość — w nierozłącznym, piekielnym ślubie — rzucają się na nieszczęśliwą ofiarę, aby krew z niej wyssać; zakon jezuicki potępia obwinionego, stolica apostolska — bezskutecznie broni. W obu wypadkach odbija się jaskrawa kolizya między różnemi władzami Rzeczypospolitej; ale tam trybunał przeciw biskupom, tu—biskupi przeciw trybunałowi bronią skazańca. Są wszakże i odmienne rysy: proces Łyszczyńskiego rozwija się dość regularnie, podczas gdy sprawa Unruga kroczy po wyjątkowych, nielegalnych szlakach, uwydatniając zarazem jakiś dziwny opór, stawiany Rzymowi, ze strony instytucyj ultrakatolickiego a niezłożonego państwa.

Cenna, obfitująca w ciekawe szczegóły, a na nieznanych dotąd świadectwach oparta, praca p. Kraushara, ma tę ujemną stronę, że tło sprawy Unrugowej, że ducha wieku w chwiejnych nieco odbija konturach. Nie wiemy np., dlaczego autor utrzymuje, że konfederacya tarnogrodzka (t. I, str. 165) „mieszaniu się dworów zagranicznych do stosunków wewnętrznych Rzeczypospolitej stanowczą dała odprawę." Przypomnijmyż sobie okoliczności, towarzyszące zwołaniu „sejmu niemego..." Za przyczynę „dewocyi," panującej w Polsce na początku wieku XVIII, uważa on (I, 99) ścisły sojusz między królem, ex-protestantem i jezuitami — a jest to przecie tylko jeden z głównych strumieni ukrytego w przeszłości źródła. Zaranie wieku XVIII-go niekiedy w jasnym (II, 223), niekiedy w ciemnym (II, 226) przedstawia kolorze. Na tę ostatnią barwę chętniejbyśmy się zgodzili; *nie* „była to" bowiem jeszcze „epoka wyższej kultury umysłowej, wrażliwa niezmiernie na wszystkie prądy, płynące z zachodu."

Styl p. Kraushara jest nietylko staranny, ale nawet wykwintny. Zauważyliśmy jednak tu i owdzie drobne usterki, zaczepiające przeważnie o dziedzinę składni — w tomie I: na str. 38 („podróż *do Niemczech*"), 40, 45, 78, 82, 91, 107, 221; w t. II: na str. 5, 13, 26, 105, 112, 116, 166, 169, 231. Dość jaskrawo rzuca się w oczy, zbyt rozpowszechnione już u nas, niestety, a właściwe tylko mowie ruskiej, przestawianie zaimka *który* (np. „rezultatem *której*..."), oraz przypadek szósty, zamiast pierwszego, w imiesłowach biernych, stanowiących składową część formy czasownikowej (np. „była *zatłumioną*").

A. G. Bem.

SPRAWY ZDROWIA.

Mleko, znaczenie i sposoby konserwowania. — Antiseptyka i chirurgia nowoczesna. — Pyoktanin — nowy środek antiseptyczny.

Wiadomo wszystkim, jak ważną rolę w gospodarce społecznej gra mleko; stanowi ono wyłączne pożywienie niemowląt, a zarazem bardzo ważny pokarm dla ludzi dorosłych. Mleko nie jest pojedynczą substancyą pożywną, lecz mieszaniną, wielce udatną, kilku środków, niezbędnych dla odżywiania organizmu. W litrze, wydanego przez zdrowe i tęgie zwierzę, znajduje się od 30 do 40 gramów masła (tłuszczu), 50 do 60 gramów sernika (białka), tyleż cukru mlecznego, wreszcie 3—4 gramów popiołu, złożonego przeważnie z fosforanu wapna (sole). Żadna substancya odżywcza, jak: chleb, mięso, tłuszcze, ser, owoce, jarzyny itd. nie zawiera tylu i w takiej ilości środków odżywczych, co mleko; prócz tego cena ich jest większą, gdy bowiem za jednego franka dostajemy pewną określoną ilość materyi białkowatej w postaci mleka, wówczas ta sama ilość kosztuje 75 ctm. w postaci sera szwajcarskiego, 2 franki — sera Bric, 2 fr. 20 ctm. — mięsa wieprzowego, 2 fr. 50 ctm. — baraniny, 2 fr. 70 ctm. — wołowiny, 3 fr. 80 ctm. — jaj, 5 fr. — bulionu. Pomimo swej wysokiej odżywczej wartości i stosunkowo niskiej ceny, mleko w mniejszem jest użyciu, niż inne artykuły żywności; pochodzi to stąd, iż nie jest ono we właściwem tego słowa znaczeniu trwałem, nie daje się bowiem przechowywać przez dłuższy czas, musi być skonsumowane niemal natychmiast po wyprodukowaniu, a skutkiem tego handel niem nie zawsze może odpowiedzieć wymaganiom popytu. Mleko, jak wiadomo, bardzo łatwo ulega zepsuciu; zależy to od działania drobnych istot, zwanych bakteryami. Właściwością ich jest nader szybkie rozmnażanie się, jak bowiem wykazał Miquel, w godzinę po dojeniu w litrze mleka znajduje się 9 milionów bakteryj, w 2 godziny — 11 milionów, w 4 — 30 mil., w 8 — 230 mil., a po upływie doby — 63,500 milionów. Waga tych istot jest tak nizka, że owe 63 miliony przedstawiają zaledwie 63 miligramy. Działanie ich nie zależy jednak od wagi, lecz od siły chemicznej, dzięki której zmieniają mleko, psują jego smak i wartość; skutkiem ich fermentacyjnego działania niepodobna przechowywać mleka dłużej nad 24 godziny, co naturalnie bardzo przeszkadza w handlu tym artykułem. Prócz tego mleko ma jeszcze inne wady, mianowicie służy za środek przenoszenia się niektórych chorób zakaźnych. Spostrzegano kilka razy, że tą drogą szerzył się tyfus, ospa i szkarlatyna, wtedy mianowicie, gdy w mleczarniach znajdowali się chorzy tego rodzaju. Częściej jednak zdarza się, że zapomocą mleka udziela się ludziom choroba krowy, z której ono zostało wydojone. Chorobą tą jest gruźlica. Z oględzin bydła, dokonywanych obecnie w racyonalnie urządzonych rzeźniach, przekonano się, że na sto zwierząt jedno, dwa lub trzy ulega gruźlicy. A ileż to jest krów chorych, z których spredaje się mleko, choć za życia zwierzęcia handlujący nie wiedzą o jego stanie, lub umyślnie go ukrywają? Mleko krów, cierpiących na gruźlicę, jest niezdrowe, o czem doświadczalnie przekonał się Hirschberger, szczepiąc je świnkom morskim. Na 5 tego rodzaju doświadczeń, 4 kończyły się śmiercią. Im bardziej ogólną jest gruźlica, tem niebezpieczniejszem mleko bydlęcia, lecz nawet przy wyłącznem umiejscowieniu choroby w płucach, dojone z wymion, tak oddalonych od ogniska chorobnego, może jeszcze zawierać zarazki. Dla zabezpieczenia się od szkodliwego działania mleka z chorych zwierząt, uciekano się w początku do zamrażania go, lecz spo-

sób ten okazał się niewystarczającym, skutkiem tego obecnie w powszechnem jest użyciu gotowanie, które zabija wszystkie zarazki. Nadto sposób ten ma znaczenie nietylko lecznicze, lecz i handlowe, pozwala bowiem konserwować mleko, bądź w stanie zgęszczenia po wyparowaniu, bądź w stanie płynnym. Skutkiem tego stało się ono artykułem handlu, podobnież, jak drzewo, mięso itp., a ceny jego i obroty zależą od ogólnych warunków handlowo-ekonomicznych; z wyniku tego przekonywamy się, że wiedza szerokie zatacza kręgi i oddziaływa na wszelkie gałęzie stosunków i interesów ludzkich.

Szczególniej bakteryologia, tj. nauka o chorobotwórczych drobnoustrojach i antiseptyka, czyli nauka o niszczeniu tych istot, zapoczątkowane w wiedzy lekarskiej przez Listera, a w umiejętnościach stosowanych przez Pasteura, znakomity wywarły wpływ na wszelkiego rodzaju gałęzie wiedzy i przemysłu. Cała nowoczesna chirurgia, z jej śmiałemi operacyami i doskonałymi ich wynikami opiera się na metodzie antiseptycznej. Ileż to chorób, stale towarzyszących dawniej wszelkim operacyom, znikło obecnie z widowni; któż widuje obecnie w dobrych klinikach chirurgicznych: różę, zapalenie tkanki podskórnej, zapalenie naczyń limfatycznych, gangrenę szpitalną, zakażenie septyczne krwi i tak groźną piemię, które dawniej dziesiątkowały operowanych i czyniły niebezpieczną niemal każdą operacyę? W niedawnych jeszcze czasach amputacya goleni lub uda była groźną, a wyleczenie należało do rzadkości. Dzisiaj operacyę taką powierza profesor lub ortopeda swym najmłodszym pomocnikom, a wyzdrowienie jest regułą, od której nie zdarzają się wyjątki, chyba przy szczególnych okolicznościach (chorobach całego ustroju). Rezultaty te zawdzięcza chirurgia Listerowi, który wynalezieniem swej metody zasłużył na ów pomnik ze złota, obiecywany przez Nalatona dla wynalazcy sposobu, zabezpieczającego chorych od pooperacyjnej piemii. Nadto metoda antiseptyczna o wiele skróciła przebieg gojenia się rany; ułatwiła ona t. zw. gojenie się przez zlepienie bezpośrednie (per primam intentionem), bez ropienia i zapalenia brzegów rany, skutkiem czego obecnie rana po amputacyi gruczołu piersiowego goi się w ciągu 8—15 dni, podczas gdy dawniej wymagało to co najmniej pięciu, sześciu i więcej tygodni. Dzięki metodzie antiseptycznej odważyli się wreszcie chirurdzy na takie operacye, których dawniej nigdyby się nie podjęli, a co ważniejsza, otrzymują doskonałe wyniki. Niema prawie organu, do któregoby w obecnych czasach nie przenikał nóż antiseptyka; najobszerniejsze miejsce w chirurgii nowoczesnej zajęły obecnie operacye na organach brzusznych: żołądku, kiszkach, pęcherzu, organach rodnych kobiecych, wątrobie i nerkach; lecz nawet do płuc, serca i mózgu odważnie zapuszcza się skalpel, niosąc ulgę i zbawienie dla chorych, którzy dawniej byli skazani na nieubłagany zgon. Ale... otóż i ale. Tak jest, metoda antiseptyczna ma też swą piętę Achillesa, wynikającą właśnie z jej doskonałości. Znakomite jej wyniki, szalone operacye, przedsięwzięte dzięki niej z pomyślnym skutkiem, nadmierną obdarzyły odwagą chirurgów i rozwinęły w nich istną manię operowania, *prurigo secandi* (świerzbiączkę do krajania), skutkiem tego ilość operacyj olbrzymio wzrosła, a przytem proponuje się i wykonywa takie, które nie zgadzają się z rozsądkiem, a nawet z sumieniem. W dzisiejszych czasach wielu chirurgów pożądliwem okiem poszukuje — *materyału* do operacyi. Zaniedbują oni wszelkie inne sposoby łagodniejszego leczenia, z bezpieczeństwa operacyi korzysta nawet w celu dyagnostycznym, rozpruwając nieraz brzuch jedynie dla przekonania się, czy umiejscowiony w nim guz da się wyciąć, czy też nie, w ostatnim bowiem wypadku zaszywają ranę spokojnie. Niektórzy z dzisiejszych chirurgów nie badają wcale ogólnego stanu pacyenta, nie zapoznają się dość dokładnie z naturą choroby, podlegającej operacyi, lecz krają i krają. Zdarza się np., że operator usuwa raka twarzy lub krtani, naraża chorego na ciężką i groźną operacyę, pozostawiającą nieprzyjemne następstwa i olbrzymie zniekształtnienie, a po miesiącu lub dwóch choroba powraca. Operowano więc i dręczono pacyenta dlatego tylko, aby w ciągu miesiąca uwolnić go od guza. Przeciw tej manii nowoczesnej występuje prof. Duplay z Paryża i w znakomitym odczycie poleca wszystkim chirurgom głębokie studya nad anatomią, fizyologią, patologią i kliniką chirurgiczną, dzięki którym lekarz potrafi dokładnie zapoznać się z charakterem choroby, zbadać, ocenić wszelkie warunki i szanse operacyi, postawić racyonalne wskazania, a ostatecznym dopiero wynikiem takiego osądzenia ma być operacya, przedsiębrana wtedy, gdy inne sposoby leczenia okazały się niedostatecznymi. Według Duplaya chirurgia to nie sztuka operowania, lecz sztuka leczenia, a chirurg to lekarz w ścisłem tego słowa znaczeniu, a nie — *operator* tylko.

W najbliższym związku z bakteryologią pozostają środki, wynalezione przez wiedzę lekarską w celu niszczenia drobnoustrojów. Środków takich mamy wiele; największą popularnością cieszy się kwas karbolowy i sublimat. Wszelkie jednak środki antiseptyczne, o ile działają zabójczo na bakterye, wywierają również szkodliwy wpływ na organizm ludzki; silniejsze roztwory, jedynie działające na mikroorganizmy, zatruwają człowieka, słabsze zaś rozczyny nie działają wcale przeciwgnilnie. Wobec tego kuszono się ciągle o wynalezienie takiego środka antiseptycznego, któryby nie szkodził organizmowi, a jednak działał skutecznie. Oftalmologowi d-rowi Stielingowi ze Strasburga udało się odkryć środek, obdarzony powyższemi własnościami. Botanicy zauważyli od dawna, że bakterye wszelkiego rodzaju chętnie pochłaniają przetwory aniliny i szybko od niej giną. Otóż dr. S. wraz z dr. Wortmanem przekonali się, że podobne barwniki aniliny, t. zw. mothyl-violett w rozczynie 1:30,000 znoszą rozwój gnilnych mikrobów, a w stężeniu 1 : 2,000 i 1 : 1,000 zupełnie znoszą gnicie. Na świnkach morskich i królikach przekonali się oni następnie, że te barwniki anilinowe, wolne od arszeniku, są względnie nieszkodliwe dla organizmów zwierzęcych, a jednocześnie doskonale działają antiseptycznie w zakaźnych, sztucznie wywołanych cierpieniach oczu u zwierząt. Następnie zastosowano ten środek u dzieci, cierpiących na skrofuliczne choroby oczu, potem użyto go też przy innych chorobach ocznych i chirurgicznych, szczególniej przy ropiejących owrzodzeniach i ranach. Środki te znoszą ropienie, zmniejszają lub zupełnie koją bóle i przyspieszają gojenie się. Zdaniem wynalazcy, środek ten będzie mógł być użytym we wszystkich działach medycyny — przy cierpieniach zakaźnych: skóry, kanału pokarmowego, w zapaleniach błon surowiczych. Anilinowe lekarstwa, według metody Stillinga, są już wyrabiane w Darmstadzie w znanej fabryce przetworów lekarskich E. Mercka i noszą w handlu nazwę pyohtaninu.

Dr. L. W.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE.

„Wzrokowcy“ i „słuchowcy.“ Wśród grona turystów ktoś podjął się oznaczyć zawód każdego, jeśli wszyscy udzielą odpowiedź na zapytanie: jaka rzecz przyprawia samą siebie o zagładę? Siła życiowa — odrzekł biolog; wojna — zdradził się wojskowy; kronos — odparł filolog; rewolucya — mówił publicysta. Każdy pospieszył z odpowiedzią, która odpowiadała jego życiowym widnokręgom lub skłonnościom. Anegdota ta, nawet zmyślona, daje jednak przewyborny obraz, w jakim stopniu nasza natura osobista odbija się w naszem życiu. Każdy nabytek umysłowy i każdy najcodzienniejszy postępek zdradzają nasz charakter i upodobania i mogą posłużyć jako materyał do zbadania stosunku pomiędzy organizacyą osobniczą a jej ujawnianiem się życiowem. Badania na tem polu, ważne zarówno z praktycznych względów, jako też nader ciekawe teoretycznie, mnożą się. Właśnie obecnie mamy pod ręką poszukiwania w zakresie zdolności apercepcyjnych człowieka odpowiednio do jego organizacyi.

Człowiek z gruntu jest stworzeniem wzrokowo-umysłowem — „wzrokowem.“ „Nie uwierzę, aż zobaczę“—w wyrażeniu tem streszcza się cała nasza natura. Poezya obfituje w takie porównania „namacalne“ dla spotęgowanego oddania najrozmaitszych wrażeń, a nauka „poglądowa“ opiera się właśnie na tej właściwości człowieka. Nawet myślimy obrazami wzrokowymi, lubo nie wszyscy są jednako uposażeni pod tym względem. Galton czynił w tym kierunku liczne doświadczenia. Znalazł on, że myśl nasza raczej idzie sprzężona z konturami przedmiotów, niż z barwami, że zdolności takie przechodzą w spadku, że ludzie, poświęcający się poszukiwaniom teoretyczno-naukowym, są wogóle mało rozwiniętymi wzrokowcami. Natomiast inni odznaczają się silnym rozwojem pierwiastku wzrokowego: szachiści, grający z pamięci kilka partyj jednocześnie, mechanicy, budujący maszyny w myśli, rachmistrze, odbywający rachunki pamięciowe itd. Lecz tu i owdzie zdarzają się jednostki, u których słuch wypiera do pewnego stopnia wpływy wzrokowe i odgrywa w apercepcyi znaczniejszą rolę. Są to „słuchowcy“ w przeciwstawieniu do „wzrokowców“: naturalnie wzrok spełnia równie swoje czynności, lecz tylko w mniejszej mierze, tymczasem gdy u wzrokowców słuch może doznać znacznego zaniku. Legouvé przewybornie skreślił tę różnicę w rozmowie ze swym towarzyszem zawodu, dramaturgiem Scribe. „Pisząc jakąś scenę, słyszę ją, tymczasem ty widzisz. W każdem napisanem zdaniu głos osoby mówiącej dźwięczy w moich uszach. Ty w duszy twojej nosisz teatr; osoby twoje chodzą i grają przed twemi oczami. Jestem jakby słuchaczem, ty — widzem.“ Mortimer-Granville podjął nad tą kwestyą bliższe badania w celach pedagogicznych; mianowicie szło mu o znalezienie zmysłów, za pomocą których można zwiększyć natężenie pamięci u jednostki. Okazało się, że wzrokowcowi dla zapamiętania ustępu wystarcza wejrzenie się w treść wzrokiem, gdy tymczasem słuchowiec nie odniósłby najmniejszej stąd korzyści; potrzebuje on bowiem usłyszeć treść. Wobec tego pozostało jedynie wyznaczyć sposoby, za pomocą których możnaby było odróżnić jednego od drugiego, aby następnie zastosować odpowiednie postępowanie. Pedagog ten dawał kawałek papieru z 8—10 jednozgłoskowemi słowami komuś do cichego przeczytania raz jeden i notował zapamiętane; to znowu czytał mu i kazał powtórzyć po jednorazowem słyszeniu. Jastrow, prof. z Wisconsinu, poszedł dalej jeszcze w swoich poszukiwaniach. Usiłował on oznaczyć najwyższą granicę zdolności pamięciowej wzroku i słuchu (między innemi przez notowanie, po ilu głośnych przeczytaniach lub samodzielnych rzuceniach wzrokiem ktoś zapamiętywał dane zdanie); naturę jednej i drugiej pamięci (tak np. wzrokowiec pamięta najlepiej pierwsze, słuchowiec ostatnie słowo); wzajemny ich stosunek i liczebność stu typów. Badania te, ustalające istnienie szczególnych natur, są nowym przyczynkiem do tak ważnej antropologii „zawodowej“ społeczeństwa.

Objawy stygmatyczne. Pod nazwą stygmatów znane są szczególne miejsca na ciele, płynące krwią, a naśladujące rany Chrystusa. Zjawisko stygmatyzacyi w doskonałej a wykończonej formie przedstawia rany na dłoniach i stopach, oraz na jednym boku; czasami krew ukazuje się i na czole, gdzie była nałożona korona cierniowa. Wypadki tego rodzaju są skrupulatnie notowane przez kościół. Nieznane w pier-

wszych wiekach, ukazuje się dopiero później. Kościół katolicki zapisał ich do 80, lecz prof. medycyny w Clermont-Ferrand, dr. Gourbeyre, naliczył aż 153, wśród których osiem zdarzyło się w ostatnich czasach. Najwybitniejszym przykładem jest św. Franciszek z Assyżu. Podczas modłów czuł on chęć namiętną doświadczenia mąk Chrystusowych. Jednego razu widział Serafina z obrazem Ukrzyżowanego. Widzenie niebawem znikło, lecz sam św. Franciszek ujrzał, że ręce i stopy są jak gdyby przekłute gwoździami, oraz bok lewy, z którego krew się sączyła. 50 franciszkanów wraz z papieżem Aleksandrem IV stwierdzili istotnosć ran. Zdarzenia te, uchodzące niegdyś za dowód najwybitniejszy cudu, nowoczesna nauka zdołała bliżej poznać, dzięki kilku żyjącym stygmatyczkom. Największej sławy doszła Ludwika Lateau. Histeryczka z urodzenia, widywała w młodości święte osoby i Matkę Boską i odznaczała się chorobliwą ekstazą religijną. Za młodu w piątki poczęła miewać wycieki krwiste z lewego boku, z obu dłoni i dolnej powierzchni stów; punkciki krwiste ukazywały się też na czole i plecach. W stanie zachwytu traciła czułość zmysłów; twierdziła, że cztery lata nie spała i nie przyjmowała pokarmu, oraz nie miała żadnych naturalnych wydzielin. Niejaki Warlomont, wydelegowany przez Akademię medyczną belgijską do sprawdzenia stygmatów Ludwiki Lateau, wykazał, że są istotne, lecz zaprzeczył opowiadaniu o mniemanem nieprzyjmowaniu pokarmów i wstrzymywaniu się od snu. Histeryczność stygmatyczki wykazał on niezbicie.

Niegdyś cudowności tych zdarzeń nie poddawano najmniejszej wątpliwości. Bulle papieskie powoływały się uroczyście na owe cuda. Nowsza jednak fizyologia zaczyna je objaśniać w sposób najnaturalniejszy. Przedewszystkiem wykazuje ona możliwość wycieku krwi z różnych miejsc ciała bez istnienia rany, oraz zależność tego zjawiska od podniecenia nerwowego. Pewien lekarz szwedzki badał 23-letnią dziewczynę, u której po wzburzeniu emocyonalnem krew ukazywała się tu i owdzie na czole. „Badając cieknącą powierzchnię, nie znaleziono najmniejszego zranienia skóry.“ Rozpoczynał on umyślne kłótnie z pacyentką i wywoływał wycieki, które i ona sama zdołała sprowadzać prostym wysiłkiem woli. Nowoczesne doświadczenia hypnotyczne dowodzą, że poddaniem można spowodować nabrzmienie powierzchni skóry krwią w dowolnem miejscu. Przykłada się np. kawałek papieru w danej okolicy ciała i mówi się uśpionemu, że to jest wizykatorya, a skutek jest ten sam, jakby zmyślenie było prawdą. Słowem, nauka niemal jest w stanie fabrykować na zawołanie dawne cuda, tak opiewane w bullach.

LITERATURA I SZTUKA.

STANLEY STAROŻYTNY.

Podobnie jak niemcy dziś nad brzegami czynią studya nad szczepami murzyńskiemi, tak za czasów Aleksandra Wielkiego grecy odkrywali niemców w „krainie bursztynowej.“ Od dawna wiadomo, że pierwsze o niemcach wiadomości sięgają po za wędrówkę cymbrów i teutonów, a Wilhelm Behrendt w poemacie historycznym zapoznaje dziś publiczność niemiecką z wielkim, starożytnym podróżnikiem „Pytheasem z Marsylii,“ który pierwszy zwiedził Niemcy i Anglię. Ciekawą tą postacią dotychczas bardziej zajmowali się anglicy, aniżeli niemcy. Profesor Ridgeway wiele o nim doniósł w rozprawie p. t. „Greckie drogi handlowe do Brytanii,“ a bardziej jeszcze szczegółowo zajmował się nim Elton w kwartalniku londyńskiego stowarzyszenia mitologicznego. Brehmer w swych „Odkryciach starożytnych“ zowie Pyteasza Humboldtem starożytnym i podnosi jego zasługi około matematyki, astronomii, geografii i etnologii. Elton zaś dowodzi, że podróż Pyteasza pozostawała w związku z planem handlowym towarzystwa kupców greckich w Marsylii, którzy chcieli zbadać źródła, z jakich kartagińczycy czerpali cynę i bursztyn, aby następnie podstępem lub przemocą wyrwać im z rąk tę gałęź handłu. Wiadomo bowiem, że jeszcze za czasów Homera ceniony w starożytności bursztyn z brzegów Battyka „świętą jakąś drogą“ dostawał się do Włoch i do Grecyi, a mit starożytny opowiada, że na wyspie jakiejś, w pobliżu dzisiejszej Wenecyi, stały posągi z cyny i bursztynu, jako drogowskazy. Podobnie Kolumb na jednej z wysp Kanaryjskich znalazł posąg, wskazujący ręką zachód.

Jakimkolwiek był główny cel podróży Pyteasza, pewnem jest, że puściwszy się wzdłuż wybrzeża Gallii ku Brytanii i przewędrowawszy — według Strabona — kraj ten pieszo, popłynął od ujścia Tamizy ku Renowi, a następnie, skręcając około Skager-Raku, do ujścia rzeki zwanej Tanaisem (miała to być Wisła). Następnie wzdłuż wybrzeży norwezkich płynał Pyteasz ku północy, aż ujrzał ogromne masy lodu. Ta część morza wydawała mu się nienaturalną: sądził, że są to płuca morza: dzielił bowiem pogląd rybaków ówczesnych, że przypływ i odpływ morza jest skutkiem oddychania olbrzymiego jakiegoś zwierzęcia morskiego.

Niemcy nazywa Pyteasz „Germara“ i twierdzi, że kraj ten rozciąga się od Renu aż do Scytyi. Spotkał tam lud błękitnooki. Pomiędzy Renem a Łabą znalazł ortionów, na wybrzeżach północnych — cymbrów i teutonów, na południu — guttonów (gotów). Kimbryjscy przewodnicy zawiedli go aż do krainy słońca północnego. Zdaje się, bądź co bądź, że podróżnicy starożytni lepiej umieli traktować obce ludy, aniżeli taki Stanley: ileż bowiem Herodot dowiedział się o narodach, które zwiedzał, a ile Pyteasz wiedzieć musiał o niemcach, skoro po zaginięciu dzieła jego, z wyciągów porozrzucanych po autorach późniejszych, Behrendt zestawić umiał powieść tak zajmującą! Niesmacznemi tylko są morały historyczno-polityczne, któremi autor kończy swą pracę, a które na upadku Grecyi, a na wzroście Niemiec ilustrować mają etyczną wyższość szczepu germańskiego i jego polityki. W samych Niemczech nawet chyba niewiele znajdzie Behrendt czytelników wierzących.

L.

LITERATURA NIEMIECKA.

18 lipca.

Nowa powieść Gottschalla „Lesefrüchte.“ — „Neue Marksteine,“ zbiór utworów epicznych Adolfa Pichlera. — Liryka i epigramatyka: „Tycho Pantander“ Wintelera, „Gedichte“ Ludwika Fuldy.

Stary Gottschall pisuje ciągle jeszcze. Zrażony słabem powodzeniem ostatniego dramatu, osnutego na tle historyi hiszpańskiej, zwrócił się znowu ku powieści i obrał tym razem temat współczesny. *Owoce lektury* — oto tytuł najnowszego utworu jego, wyjętego niejako z pamiętnika młodego muzyka. Ubogi artysta pokochał w konserwatoryum ubogą również koleżankę i poślubił ją, idąc za głosem uczucia. Miał marzenia rozległe, powodzenie kompozycyj jego wybawić miało oboje z nędzy. Tymczasem spodziewane tryumfy usuwają się w przyszłość mglistą, a na młodą parę spada cały ciężar walki o życie codzienne. Zmudne udzielanie lekcyj fortepianowych pozbawia młodego muzyka siły i phlotu. Małżonka jego postanawia zdobyć się na bohaterstwo. Czuje, że mąż jej wówczas tylko stanie na wyżynie sztuki, kiedy uwolniony od krępujących go więzów, swobodniej poświęcić się zdoła twórczości artystycznej. Chce więc go opuścić, rozerwać węzeł małżeński, który skrzydła mu łamie i otworzyć mu w ten sposób możność zawarcia związku nowego, korzystniejszego, któryby mu zabezpieczył życie niezawisłe. Nadludzka ta ofiara kochającej żonie wydaje się wprawdzie trudną, lecz możliwą: dowiedziała się bowiem z życiorysu księcia Pückler-Muskau, że podobne stosunki wpłynęły na rozwiązanie małżeństwa jego z córką kanclerza księcia Hardenberg. Z czasem i młody kompozytor, którego talent zdaje się być dzielniejszym, aniżeli charakter, przyzwyczaja się do tej myśli. Chcąc postarać się o powód do rozwodu w obliczu prawa, wybiera się ze zgodą żony do wód poblizkich: przepędziwszy tam czas pewien, dałby żonie podstawę do twierdzenia, że ze złej woli ją opuścił. W Hermanstad młody artysta, który u czytelnika niewiele zdobył sobie sympatyi, używa przyjemności i komponuje wesoło. Życie towarzyskie tego małego miejsca kąpielowego nakreślone jest barwnie i wcale realistycznie, lecz nie znajdujemy typów oryginalnych wśród postaci wprowadzonych przez Gottschalla. Kręci się tam zubożały junkier o zacięciu oficerskiem, młoda, bogata, zalotna wdówka, wzdychająca do tarczy herbowej, mała, długowłosa poetka, której wyblakła sukienka nie zdradza kroci jej rodziców itp. Młody muzyk kokietuje z kilkoma kobietami, lecz ani na chwilę czytelnikowi prawdopodobnem się nie wyda, aby dla którejś z nich istotnie porzucić mógł żonę. Wtem pojedynek, ze zwykłych bardzo przyczyn wynikający, powala go na łoże śmiertelną niemocą. Wówczas Łucya, gotowa, jak zawsze, do poświęceń, przybywa, by go pielęgnować; młodzi małżonkowie przekonywają się, że nigdy się nie rozejdą. Po romantycznym przebiegu, a zwłaszcza początku tej akcyi, niesmaczne nieco czyni wrażenie morał, umieszczony przy końcu: że niema nic niebezpieczniejszego nad naukę o drugiej moralności, do jakiej roszczą sobie pretensyę ludzie genialni i że nic szkodliwszego nad chęć urzeczywistnienia snów poetów lub powtórzenia we własnem życiu tego, co wielki jakiś człowiek skreślił w swym pamiętniku. Aby zaś piękne rozwiązanie starcia między miłością a talentem nie wydawało się czytelnikowi zgubą dla talentu, Gottschall zawiadamia go, że właśnie jedna z „wielkich scen nadwornych“ przyjęła operę młodego kompozytora.

Podczas gdy pióro Gottschalla wiele już straciło ze swojej świeżości i dawnego wdzięku, inny weteran poezyi niemieckiej w ósmej dziesiątce swego życia występuje z nowym zbiorem utworów, niezdradzającym żadnych jeszcze śladów starości. Adolf Pichler, którego jubileusz święcono w jesieni roku ubiegłego, mieszka, jako geolog, w górach tyrolskich: tam łatwo mu było zachować świeżość ciała i umysłu. Pierwszy zbiór utworów epicznych, który wydał przed szesnastu laty i którym się wsławił, nosił tytuł *Marksteine*. *Neue Marksteine* — oto tytuł nowego zbioru. Na wstępie umieścił poeta drugą część słynnej swej opowieści „Fra Serafico.“ Jest to mnich włoski, którego łagodna filozofia serca przemawia żywo do umysłu czytelnika. Utwór ten osnuty jest na tle włoskiej walki o wolność i jedność; uwagi godną jest bezstronność i życzliwość, z jaką Pichler ruch ten przedstawia, gdyż w r. 1848 poeta, jako kapitan strzelców, walczył z włochami i według słów własnych, sam wyparł garybaldczyków z zamku.

Obok *Fra Serafica* najwybitniejszym w zbiorze utworem jest *Zaggler Franz*. Jest to chłop tyrolski, ale chłop, który odbył studya i który zastanawia się nad najwyższemi zagadnieniami. Zdania jego, wyrzeczone o życiu, polityce i religii, uważać można, jako wyznanie wiary samego Pich-

lera. Co prawda, nawet gdy przypuścimy, że ów Zaggler Franz czytał autorów greckich i rzymskich, Goethego i Byrona, dziwić się będziemy płynności i doborowi jego słów; lecz zbyt wiele znajdujemy w nich myśli głębokich, trafnych obserwacyj nad ludźmi i filozofii życia, abyśmy się zrażać mieli brakiem realizmu w formie tam, gdzie idzie o stosunek wiary do myślenia. Pichler nawet samego siebie wprowadza do utworu: stary wieśniak przypomina nauki, których udzielił mu niegdyś podczas cichej nocy księżycowej na moście. W szacie mitu rozwija autor deizm, wypływający snać z najgłębszego przekonania sędziwego przyrodnika i poety. Ten to filozoficzny czysto deizm dał przeciwnikom poety powód do szkalowania go przed światem, jako renegata postępu i poplecznika klerykałów. Niesłuszność zarzutu wyjaśnia się po przeczytaniu trzeciego utworu Pichlera *Św. Alozy*. Bohaterką utworu tego, wyposażoną własnościami najsympatyczniejszemi i z prawdziwem upodobaniem nakreśloną przez poetę, jest żydówka Rebeka. Klerykał zaś, niebędący antisemitą, jest dziś równie rzadkiem zjawiskiem, jak filosemita, niebędący postępowcem.

Liryka niemiecka od lat kilku już nie wydała zbioru, któryby trwalszą po sobie pozostawił był pamięć w umysłach czytającej publiczności, a jednak, mimo iż znalezienie nakładcy dla poezyj lirycznych należy dziś do rzeczy najtrudniejszych, a i większość autorów ogłaszać musi swe utwory kosztem własnym, rynek literacki stale zalewany bywa powodzią tego żywiołu. Wybierzmy z tej bogatej biblioteki współczesnych liryków niemieckich najnowszej daty bodaj dwa lub trzy tomiki, zalecające się ciekawszą treścią. Jost Winteler, autor nieznany nam dotychczas, pokusił się o przedstawienie „rozwoju umysłowego w pieśniach.“ Zbiór jego zatytułowany jest *Tycho Pantander*. Nazwisko to w nieszczęśliwy nieco etymologicznie sposób wskazuje, że indywidualność, której wnętrze autor odsłania, jest wszechstronną, że to wszechczłowiek niejako. W refleksyach jego jest, bądź co bądź, niezwykła głębokość. Odepchnięty zewnętrznemi zjawiskami życia, wątpiący i zrozpaczony, popada poeta w ateizm pesymistyczny, dochodzący z wielką siłą do ostatnich wyników, by wreszcie nawrócić się do panteistycznego na świat poglądu o zabarwieniu gnostycznem, przypominającego żywo Wilhelma Jordana. Jemu też, jako „nowotwórcy idei demiurga,“ poświęconą jest ostatnia część zbioru. Winteler, pragnący być poetą-myślicielem, zbyt mało ma siły poetyckiej, aby zwykłemu czytelnikowi uprzystępnić swe rozmyślania filozoficzne; filozof zaś z poetyckiej tej popularyzacyi nowych rzeczy się nie dowie.

W innej sferze myślowej obraca się dowcipny Ludwik Fulda. Wprawdzie i on nie omija głębszych zagadnień życia psychicznego, o czem świadczy jego *Prometeus Pyrphoros*, lecz nie w tej dziedzinie wawrzyny mu przyznano. I mimo że autor ten zdradza ukształcony zmysł estetyczny oraz idealny kierunek uczuć, nie celuje on nawet na polu właściwej liryki. Uczucia jego i wrażenia są często zbyt subtelne, aby ciepła swego udzielić mogły czytelnikowi; jest to tem trudniej, że w każdem niemal zdaniu Fuldy przebija się chłodny, trzeźwy rozum, jako regulator uczuć i wrażeń. Zamiast konkretnych, wyrazistych obrazów i przenośni, spotykamy w jego wierszach przeważnie porównania abstrakcyjne. Pierwszorzędne natomiast miejsce zajmuje autor jako epigramatyk, a humor satyryczny zdaje się być najwybitniejszym składnikiem jego umysłowości. Lepiej, niżli słowa krytyczne, scharakteryzują Fuldę własne jego epigramaty, z których parę przytoczymy:

„Es ist ein allgemeines Komplott
Von der Wiege zum Leichentuche:
Wie macht man an dem lieben Gott
Die schlausten Bekehrungsversuche?“ *)

„Die ehrliche Haut! Die grade Natur!
Ja, werden Schalk nicht besser kennte!
Grobheiten sagt er den andern nur,
Sich selber macht er Komplimente.“ **)

Die Grosssen gehn zum Ziel auf geraden Gleisen,
Die Grössten kommen ihm durch Irrthum nah:
Die wollen ganz verkehrt nach Indien reisen
Und finden unterwegs Amerika.“ ***)

Ladawa.

TEATR.

J. K. Galasiewicz, *Ciarachy*, melodramat ludowy w 4 aktach, przedstawiony w Wodewilu.

Literaturze polskiego teatru ludowego przybywa nowa sztuka w *Ciarachach* p. Galasiewicza, wyróżnionych nagrodą na konkursie *Echa muzycznego i teatralnego*. Za niewątpliwą zasługę poczytać wypada autorowi to, że zaczerpnął wątku z wielkiego procesu przetwarzania się naszych pierwiastków społecznych, że melodramat ludowy, służący dotychczas za rozrywkę znudzonemu jednostajnością życia mieszczaństwu, pogłębił wprowadzeniem do niego istotnej, wewnętrznej treści bytu chłopskiego. Po za malowniczością strojów „kmiotka“ i krakowiakiem siarczyście tańczonym, po za miłostkami Maćka i Magdy, zdawała się istnieć próżnia niczem niezapełniona. Chłop stroił się w barwne piórka, pląsał i śpiewał ku uciesze widza, znużonego widokiem szarych tłumów marynarek, tiurniur i cylindrów. Tkanka społeczna — tonęła w dekoracyi. Po raz pierwszy p. Galasiewicz wysunął na scenę typy, zrodzone w zmienionych i zmieniających się wciąż stosunkach własnościowych świata chłopskiego, typy, które od dawna domagały się głosu. Od chwili rozcięcia gordyjskiego węzła ustroju pańszczyźnianego, w łonie naszego włościaństwa rozpoczął się proces nieodłączny od swobody ekonomicznej. Własność gruntowa chłopska, wcielona w ustrój dowolności jednostkowej, pozyskuje niebywałą dotychczas rozciągliwość wraz ze zdolnością kurczenia się i przechodzenia z rąk do rąk.

Ciułacze wioskowi, a właściwiej może lichwiarze współplemiennej gliny, powychodzili na światło i, oceniwszy lepiej potęgę pieniędzy, puścili je w grę, a sprawę skupiania gruntów współwioskowców w ręce sprężystej popchnęli naprzód. Wzrost mienia zbliżył się bardziej do klas średnich, udostępnił nabytki kultury tam panującej, pościerał wybitniejsze cechy dawnych obyczajów lub pomieszał je z nowymi. Wypadki kształcenia córek na modłę mieszczańską i oddawania synów na naukę do szkół średnich, a nawet wyższych — zdarzać się zaczęły coraz częściej. Połowiczne lub całkowite przywdziewanie stroju mieszczańskiego weszło w modę. Na społecznej równinie chłopskiej jęły wyrastać tu i owdzie, coraz częściej, szare kretowiska półchłopskie, pół-pańskomieszczańskie, wspinające się do skali — pagórków dworskich. W obecnej chwili proces tego wyłaniania się z włościaństwa nowej klasy ludzi znajduje się w połowie drogi. Gorączka ziemiożercza pcha tę garść na poziom średniej własności, lecz siła rzutu jeszcze ich nie oddarła od łona macierzystego — ogon pozostał we wsi, gdy nogi wykonywają ruch w kierunku dworu. Ta faza przejściowa musiała wycisnąć na nich właściwe znamię pewnego zmieszania cech starych z nowemi; niewyodrębnieni jeszcze należycie, toną w szarzyźnie — są szarakami. Lud wiejski, trafnie oceniający ich stosunek do siebie, jako też do wzorów, które oni naśladują, nazwał ich — *ciarachami*.

Właśnie grono tych okazów naszej ewolucyi społecznej, oprawiwszy w stereotypowe ramki melodramatu, autor „Czartowskiej ławy“ przeniósł na scenę. Mamy tu dwie rodziny *ciarasze*: na czele jednej stoi wójt Tomasz Zgaga (p. Siedlecki) z dwiema córkami, Haliną (p. Jaworska) i Martą (p. Morska); na czele drugiej — najgłówniejszy w sztuce, ciarach, Bazyli Rysiak (p. Skirmunt) z synem Włodkiem, aspirant do obszaru dworskiego. Pomijając środki melodramatyczne, oraz inne akcesorya, zwróćmy uwagę na tę stronę sztuki, która jej zapewnia wybitne miejsce w rzędzie utworów dramatycznych wagi społecznej.

Akcya wysnuwa się ze skłonności do siebie dwojga serc: Haliny, która się ubiera w gorset, kapelusz i grzywkę i Włodka, który nosi tużurek, kapelusz i kamasze. Są oni z sobą zaręczeni. Małżeństwo jednak rozbija się o upór Tomasza Zgagi, który nie chce ustąpić Bazylemu Rysiakowi kawałka swego gruntu. Kawałek ten bruździ Bazylemu, bo przeszkadza mu do zaokrąglenia swej posiadłości i wciągnięcia jej w księgi wielkiej hipoteki, właściwej obszarowi dworskiemu. Bazylemu nic po cenie, mógłby jak najwyższą dać za ten szmatek, ale trudna rada z przesądem sąsiada; Zgaga bowiem przedstawia w sobie stary typ chłopa, który, pomimo iż także jest ciarachem, jak do relikwii świętej przywiązany jest do każdej piędzi ziemi. Nalóg ten podsyca w nim jego teściowa, Agata Sępowa (p. Królikowska); jest ona jeszcze przesądniej od zięcia przywiązana do roli i pozbywanie się jej uważa za grzech wobec Boga i przodków. Stosunek tych dwojga ludzi do siebie i ojcowizny wybornie odtwarza scena, jakby żywcem wykrojona z *Placówki* Prusa (uległość Ślimaka — żonie), gdzie Tomasz przysięga Agacie, że nigdy ani piędzi gruntu swego nikomu nie sprzeda. To powodujе ze strony Zgagi zerwanie małżeństwa jego córki Haliny z synem Rysiaka — Włodkiem. Dla Rysiaka, jako człowieka, którego umysł doskonale się przystosował do nowych warunków gospodarczych, który na własne oczy oglądał stopniowy wzrost swojej posiadłości, dokonywający się drogą kupna i sprzedaży, który poznał głębię czarodziejskie działanie pieniądza i nauczył się patrzeć na rolę, jako na rzecz dającą się dowolnie kurczyć i rozciągać; dla takiego ciaracha, jak on, upór Zgagi jest niezrozumiały. Nie jest to jednak upór człowieka samodzielnego; jego podtrzymuje jakaś wyższa siła — wiara w świętość danego słowa; gdyby nie to, miękkość i uległość jego charakteru wystpiłaby w całej pełni. Na perswazye Rysiaka, żeby ustąpił i zbył to, za co mu dobrze zapłaci, ma jedną odpowiedź: łzy i ustawicznie powtarzany frazes „nie kuś mię!“

Rysiak też nie myśli go więcej kusić, lecz jako człowiek niezłomnej woli i dobry znawca sprężyn (czyli szwindlów prawniczych), postanawia użyć jednej z nich, żeby tem skuteczniej stanąć u celu. Skupuje długi Zgagi i zamierza go wywłaszczyć. Nic o tem nie mówi autor, ale my od siebie dodajmy, że w rzeczywistości operacye podobnego rodzaju mało zwykle kosztują zgryzot sumienia u takich Rysiaków i bywają zwykle owemi drożdżami, na których rośnie ich mienie. Zgaga usiłuje ratować się od ruiny, do czego pomódz mu może tylko pieniądz, lecz skąd go wziąć?

Dramatyczność chwili zwiększa interwencya dwu „czarnych charakterów“: rewizora bydła, Gnacika (p. Popławski), i gajo-

---

*) Istnieje spisek powszechny, trwający od kołyski do grobu: w jakiby sposób najzręczniej przekupić Pana Boga!

**) Ach, jakiż poczciwiec! Jakaż natura otwarta! Jegomościa tego lepiej znamy: innym tylko prawi grubiaństwa, sobie komplimenta.

***) Wielcy zmierzają do celu prostą drogą; najwięksi dochodzą doń przez pomyłkę: wybierając się opaczną drogą do Indyj, znajdują po drodze Amerykę.

wego, szwagra Rysiaka, — Szczypawki (p. Trapszo), obu także ciarachów. Są to tak zwane „moralne wyrzutki" społeczeństwa, które ono wychowuje na swem łonie, potem się nimi brzydzi, a następnie — do kryminału wrzuca. W jakiejś zacisznej a uczciwej gminie patryarchalnej, której jest obcym pieniądz, ani Gnacik, ani Szczypawka nie są potrzebni, ale w dzisiejszej wsi, będącej cegiełką gmachu społecznego swoistej budowy — i oni znajdują odpowiednie role zbójców i pokątnych doradców, na których moraliści zęby ostrzą. Potrzebni też byli i w sztuce p. Galasiewicza. Gnacik w skrytości ducha kocha także Halinę i marzy o związku z nią, musi więc knuć. Po długiej namowie, udaje mu się przekonać Zgagę, który jest zarazem wójtem, żeby dla uratowania się od zamachu Rysiaka, skorzystał ze sfałszowanej przez niego do ściągania podatku gminnego tabeli. Fałszerstwo Gnacika polegało na tem, że odnośne rubryki podatku były zwiększone. Nie ściągając podejrzenia, można było podatek pobrać większy, skorzystać z jego części, a potem przy sposobności zwrócić ją ludziom. Zgaga uległ namowie i odtąd stał się wspólnikiem fałszerstwa. Gnacik zaś, mając go w ręku, mógł na nim wymódz, co chciał. Intryga rękami przewrotnemi zadzierzga się jeszcze bardziej. W czasie przygotowań do przyjęcia delegata, skryty zbójca uśmierca Rysiaka. Tu jeszcze raz występuje dobitniej szczególna cecha wyobrażeń Agaty Sępowej, której Zgaga zaklął się, że nie sprzeda gruntu Rysiakowi. Urosło w niej przekonanie, że zbójcą sąsiada łakomego ich gruntu, jest sam Zgaga. To był jedyny sposób pozbycia się pokusy. Pod grozą tego przypuszczenia namawia Halinę do zamążpójścia za Gnacika, o którym sądzi, że będąc wtajemniczonym w zbrodnię zięcia, jest panem jego życia. Przypadek zdarza, iż Halina nabiera również takiego przekonania. Do takiego wniosku doprowadza ją podsłuchana rozmowa ojca z Gnacikiem, który mu groził ujawnieniem spólnictwa w fałszerstwie tabeli podatkowej, w razie jeśli córki nie dostanie za żonę. To Halinę pcha, pomimo wstrętu w jego objęcia. Gnacik więc staje u celu. Za zgodność takiego typu z rzeczywistością trudno wszakże ręczyć i odpowiedzialność za niego całkowicie spada na autora.

„Ręka karząca" wychyla się jednak z obłoków, ażeby zbrodniarza odepchnąć od ołtarza a wtrącić do kryminału. Właściwym zabójcą Rysiaka okazuje się jego własny szwagier, Szczypawka, wspólnikiem zaś łupiectwa dokonanego na trupie—Gnacik. Obaj więc dostają się w ręce sprawiedliwości społecznej, a Halina wiąże się węzłem dozgonnego pożycia z Włodkiem, synem Rysiaka. Młodsza zaś jej siotra, Marta, gwoli rutynie dramatopisarskiej i smakowi publiczności, stanowiąca typ naiwnej „dziewczki"—wychodzi za Grzegorza Palucha.

Któż to jest?—spytasz czytelniku. Jest to, mdła i papierowa maszyna oratorska, nauczyciel wiejski, zrodzony na roli a wykształcony w uniwersytecie. W nim zaczaja się rąbek programatu społecznego. Nauczyciel ten—to także ciarach (jak widzimy, pojęcie to jest nader rozciągliwe), i wbrew rzeczywistości, wraca do braci w siermiędze, aby zostać dźwignią, unoszącą ich na wyższy poziom umysłowo-moralny.

Cóż mam o samej grze powiedzieć? Wogóle była dobrą; o szczegóły nie chciałbym zawadzać, żeby nie ukrzywdzić kogo. Wszyscy w miarę zdolności dołożyli starań, ażeby uwydatnić intencye, włożone przez autora w każdą postać. Oracye Agaty Sępowej w ustach p. Królikowskiej płynęły gładziej, niż w rzeczywistości, Marta w osobie p. Morskiej, wdziękiem naiwności poruszała dość silnie zwolenników cnoty, p. Popławski w roli Gnacika kłócił się i gniewał z łudzącą prawdą i t. d.

Z. A. P.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Odrobina polityki. — Krótki rys życia *Nordd. Allg. Ztng* i oblicze moralne p. Pindtera. — Sługa napiętnowany przez pana. — Nemezis zrobiła swoje. — Porażka naszych stajen. — Wszystko zrobiliśmy. — Konfederacya w Towarzystwie wioślarskiem. — Teatrzyki ogródkowe. — Potrzeba wyrozumiałości. — Pomnik dla Chałubińskiego w Zakopanem. — Utrwalona pamięć po dobroczyńcy.

Przebaczcie mi na tem miejscu troszeczkę polityki. Chcę tu zastanowić się nad maleńką odrobiną, której szale wielkich wag Europy wcale nie odczują, z której co najwyżej tylko mała kolonia „drobnoustrojów chorobliwych" się zrodzi, która jednakże sprawi nam wielką przyjemność, gdy na nią spojrzymy przez szkiełko mikroskopu. Jak wiadomo, wychodzi w Berlinie gazeta codzienna p. t. *Norddeutsche Allgem. Zeitung*, będąca własnością jakiegoś spekulanta, czy też spółki, a uważana powszechnie aż do ostatniej chwili rządów ks. Bismarka za „organ kanclerski." Bezpieczna, mocna i rozbestwiona potęga swego pana, który ją zasłaniał przed wszelką odpowiedzialnością, posuwała się do najdalszych granic zuchwalstwa: piętnowała zarzutem nieuczciwości i zdrady kraju ludzi prawych i zasłużonych, zniesławiała przywódców stronnictw opozycyjnych, znieważała ministrów a ubliżała zmarłemu cesarzowi i jego żonie, tak lekceważąco zaś i wzgardliwie traktowała najwyższych dostojników państwa, że gdy jeden z nich przesłał jej grzeczne sprostowanie wymierzonych przeciw niemu oskarżeń, odmówiła mu przyjęcia artykułu. Stał za tą ladacznicą wszechwładny wielkorządca, więc bezczelnie wyzywała przeciw sobie wszystkich. Napastowany w prasie i parlamencie o ten niemoralny stosunek, Bismark objaśniał go tak, jak człowiek śmiały objaśnia swój związek z najemną damą. Za jej czyny i grzechy nie odpowiadam — rzekł raz — gdyż mam w niej tylko kawałek białego papieru do użytku. Ten kawałek białego papieru przeznaczany bywał do: dyplomatycznych i potrzebnych na razie kłamstw, szczerych wyznań, złośliwych oszczerstw i całej niesumiennej gry oraz walki, którą Bismark prowadził z najszerszym światem i najbliższem otoczeniem. Siedząc w Friedrichsruh lub Warcinie, nadsyłał do redakcyi swoje artykuliki, a ponieważ to nieraz powodowało pewną zwłokę, więc gdy o jakiejś sprawie bieżącej *Nordd. Allg. Ztng* przez kilka dni milczała, w niezależnych dziennikach niemieckich natychmiast zaznaczano, że jej przekonanie „ist noch nicht eingetrofen" — jeszcze nie przybyło.

Na czele tej gazety stał niejaki Pindter, człowiek nikczemny, najmita gotów do wszystkiego. Dogadzając swemu panu, oskarżał ciągle polaków przed Europą, przedstawiał ich jako żywioł wiecznie spiskujący, mącący wodę dla łowienia ryb, skrycie działający w każdej nieczystej sprawie i dlatego zasługujący na surowe traktowanie i zagładę. Odmawiał on im uzdolnień do cywilizacyi i uczestnictwa w życiu uporządkowanem, ogłaszał ich za żywioł rozkładowy, niezasługujący ani na równouprawnienie, ani na litość. Wydane przeciw nim dekrety wygnańcze w Prusach, ustanowienie komisyi kolonizacyjnej i wszelkie środki tępienia Pindter nietylko usprawiedliwiał, ale nadawał im wyłącznie charakter obronny. Trzeba przyznać, że, oprócz „gadzinowej," pogardzała nim cała prasa niemiecka. Nareszcie spotkała tego grzesznika ostatnia i dla niego najcięższa kara: na czole, pokrytem znamionami hańby, wycisnął sromotne piętno własny jego pan. Spowiadając się przed korespondentem *Frankf. Journal*, oświadczył on, że prasa niemiecka jest podłą, bojaźliwą i niewolniczą, że niema bądź własnych przekonań, bądź odwagi bronienia się, a kiedy to oskarżenie wywołało burzę gniewów i protestów, Bismark wyjaśnił, że mówiąc w ten sposób, miał głównie na myśli *Nordd. Allg. Ztng*. Przed rokiem jeszcze można było raczej uwierzyć, że doprowadzony do stanu stałego wodór zastąpi złoto w wyrabianiu luidorów, że pszczoły zbierać będą truciznę na muchy, że francuzi jeść zaczną niemieckie knedle, niż że Pindter zostanie napiętnowany publicznie przez Bismarka. A jednakże to się spełniło. Nikt uczciwy ani nie wątpił o niegodziwości zbira z *Nordd. Allg. Ztng*, ani potrzebował potwierdzenia dla swej względem niego wzgardy ze strony jego pana: ale w moralnej prawidłowości stosunków ludzkich spoczywała niemal konieczność takiej kary. Bismark był dla wielu słońcem, więc najmizerniejszy z jego księżyców, pozbawiony teraz światła, które odbijał, pozostał ciemną i wstrętną bryłą. Gdy mu pan odmówił charakteru, tem samem odjął kredyt moralny wszystkim jego twierdzeniom i przekreślił wszystkie rachunki, jakie ten fałszerz opinii jednostkom i narodom wystawiał. Zaiste, Nemezis dosięgnęła śmiertelnym ciosem winowajcę, który przed nią długo umykał, a jednocześnie sprawiła wielkie zadowolenie moralne tym, których bezkarnie krzywdził.

* * *

Zadowolenie to powinno może nieco ułagodzić smutek, spowodowany porażką naszych koni na gonitwach w Moskwie. Wiem o tem, że wy, czytelnicy, nie wiążecie ani swych uczuć, ani honoru społeczeństwa z nogami „Krakusów" i „Tormentorów"; ale nie wszyscy są obojętni na to i uważają za rzecz drobną, czyj koń naprzód pokazał swą głowę przed celownikiem trybuny wyścigowej. Wszakże pisma donosiły, że w Warszawie rozegrały się znaczne sumy zakładów o rezultat walki na polu Chodyńskiem i że zwłaszcza Krakus, „obstawiony" bardzo licznie, naraził swych wielbicieli na poważne straty. Wielkie namiętności rodzą się pod wpływem wielkich przedmiotów; widocznie zatem nogi końskie, które dają szczęście i rozpacz, nie są rzeczą tak marną, jak się zdaje prostakom, wychowanym po za stajnią. Jeżeli zaś tak jest, to porażka nasza (przy biegach i nagrodach głównych) napełniła goryczą wiele serc zawiedzionych. Ale cóż na to poradzić? Przegraliśmy w tym roku, może odegramy się w następnym, zwłaszcza że gwiazdy pomyślne już nieraz nam przyświecały na tem niebie. Co do nas należy — robimy: trzymamy zarodowe stajnie, jak lordowie, których majątek równa się majątkowi całego Królestwa, kupujemy konie rasowe w Anglii za dziesiątki i setki tysięcy rubli, chrzcimy konie nazwiskami największych bohaterów naszej historyi, entuzyazmujemy się do nich bardziej, niż do tych bohaterów, gramy namiętnie w podwójnym totalizatorze, mamy więcej sportsmenów, niż subjektów handlowych obu wyznań—czegóż więcej można od nas wymagać? Jeżeli zaś lord Fife, który kupił sobie kawał Afryki i nie poczuł wielkiej różnicy w swej kasie, nic nie wie o tem, że warszawski sportsmen, pobierający na kolei lub w banku 500 rs. rocznie, przegrywa w totalizatora 10% swej pensyi, to nie nasza wina.

* * *

Wrażenie, wywołane wypadkiem utonięcia trzech wioślarzów, widocznie już dosyć się zatarło, bo — jak twierdzi *Kuryer codzienny* — pewna ilość członków Towarzystwa wioślarskiego zwołuje nadzwyczajne zebranie dla unieważnienia postanowień zarządu, mających zapobiedz podobnym nieszczęściom i obostrzających warunki „dzielności," zwłaszcza pod względem pły-

wania. Jeżeli zawiązana konfederacya istotnie ma na celu rozluźnienie przepisów, to najzupełniej pojmujemy jej logikę i wynikające z niej niezadowolenie. Rzeczywiście, członkowie Towarzystwa, którzy nie umieją dobrze pływać, tylko słabo wiosłować, wtedy jedynie mogą za swe składki mieć jakiś równoważnik przyjemności, jeżeli instytucya rozluźni swój regulamin i przyjmie za zasadę *laisser faire*. W przeciwnym razie cóż im pozostanie? Kilka balów i wycieczek? Za mało. Że pożądana przez nich przyjemność może czasem skończyć się na dnie Wisły — to inna kwestya, która rozwiązać się daje lekkomyślnością i szczęśliwem ryzykiem. Co was to obchodzi — zdają się mówić nieprzygotowani miłośnicy sportu wodnego — jeżeli nawet się utopimy; narażamy życie własne, nie cudze; przyglądać się zaś z brzegu jak kury pływającym po rzece kaczkom, nie mamy wcale ochoty. Wprawdzie możnaby temu pragnieniu uczynić zadość w inny, racyonalniejszy i bezpieczniejszy sposób, mianowicie: uczyć się pływać i używać łódki, ale taka rada nie posiada żadnej wartości dla tych, co pragną pozostać na stanowisku kury, która kaczego talentu nabywać nie chce i żąda, ażeby ją po wodzie nosił jakiś statek. Mimo uznania dla tej logiki i tego stanowiska, mam pewną obawę, że zebranie członków Towarzystwa wioślarskiego konserwatyzmu upartej gromadki nie podzieli, choćby dbając o to, ażeby ono powoli nie zamieniło się na Towarzystwo topielców.

* * *

Wielce dziwićby się można, że autorowie rozmaitych „bomb“ teatralnych, które w lecie pękają na scenach ogródkowych, nie poczerpnęli materyału z tej walki w Towarzystwie wioślarskiem. Znaleźliby w niej osnowę zarówno do melodramatu, jak farsy, zwłaszcza farsy, przedstawiającej udział kogutów w stowarzyszeniu kaczorów. Jeżeli influenza dostarczyła tematu do jakiejś sztuki scenicznej, czemużby ten przedmiot miał być niewłaściwym? Na propozycyi mojej szczegółowych adresów nie kładę, gdyż jestem tak dziki, że nie wiem ani kto zasila teatrzyki ogródkowe, ani nawet ile ich obecnie w Warszawie przymiera głodem (od lat paru choroba endemiczna). Tylko z obszernych studyów w dziennikach nad nowymi utworami widzę, że Melpomena pożyczyła sobie od Amaltei rogu obfitości i sypie z niego coraz nowe kwiaty. Na naszem niedbalstwie w tej dziedzinie ogół nic nie straci, bo niewątpliwie inne pisma postarają się okazać mu w wizerunkach i życiorysach całą galeryę autorów i artystów ogródkowych, zanim jeszcze te ptaki z bekasami i przepiórkami odlecą do miejsc zimowego postu. Wnoszę tylko, ażeby nikt im tego roku nie zrobił żadnej przygany, bo jeżeli w teatrze stałym spełniono *Zemstę katalońską* w ten sposób, że ani orkiestra, ani śpiewacy nie przygotowali się do wystawienia opery, a każdy głos i każdy instrument szedł swoją drogą bez uwagi na inne, to trzeba być co najmniej równie pobłażliwym dla teatrzyków ogródkowych.

* * *

Śród gości zakopiańskich zaświtała podobno myśl podjęcia składek na pomnik dla nieodżałowanego Chałubińskiego. Jeżeli godzien on takiej pamiątki, uprzytomniającej widocznym znakiem jego wielkie zasługi, to niewątpliwie tam. Tam bowiem, w życiu biednych górali pozostaną na długo niezatarte ślady jego rozumnej działalności i szlachetnych zabiegów. Miejscowa ludność wie dobrze, co mu jest winna, ale jest ubogą; pomiędzy zaś gośćmi tego zakątka znajduje się wielu jego dłużników, którzy mu zawdzięczają własne lub kochanych osób życie, a nadto są oni świadomi zarówno obowiązku względem nieboszczyka, jako też moralnego wpływu, któryby wywierała utrwalona po nim pamięć. Gdyby cień tego wspaniałego człowieka miał się przesunąć i zniknąć śród obojętności potomnych, to doprawdy należałoby przypuścić, że dziś ich serca nie zatrzymują się dla żadnego wzruszenia i nie zatrzymują w sobie najlepszych wspomnień. A ileż razy otwierało się serce Chałubińskiego dla cierpień i potrzeb ludzkich, jak on niem objął ukochane Zakopane! Już go tam niema, a jest ciągle, spotykasz go na każdym kroku, duch jego przenika to rozsławione i uszczęśliwione przez niego ustronie. Zdaje się, że lada chwila z gór wróci lub z domu swojego wyjdzie ta wspaniała, miłością ku ludziom rozpromieniona, ich dobrem szczęśliwa postać „króla zakopiańskiego,“ marzyciela i działacza, poety i mędrca. Zapadł w ziemię ten najpiękniejszy szczyt tatrzańskiej kotliny, trzebaż go wznieść przynajmniej w pomniku.

X. X.

Z D A L A.

Nowa ustawa państwowego banku szlacheckiego. — Ostateczny pogrzeb „Złotego banku.“ — Reforma samorządu ziemskiego w Rosyi. — Drogowskaz *Dnia* dla ustawodawstwa fabrycznego. — Inicyatywa hr. Czapskiego. — Przeistoczenie jej w kasę zapomóg i nagród dla oficyalistów wiejskich.

Zakłócenia w sferze stosunków wielkośredniej własności rolnej w Rosyi wycisnęły już odpowiednie, choć niedość głębokie jeszcze, znamię i na banku szlacheckim. Cechą tą może być nazwaną ustawa państwowego banku szlacheckiego, niedawno ogłoszona. Istotnych zmian ona nie wprowadza. Główna z nich polega przedewszystkiem na oddzieleniu od siebie zarządów Banku szlacheckiego od włościańskiego, następnie na dopuszczeniu do centralnej rady Banku jako też jego oddziałów — przedstawicieli wybieranych przez szlachtę na zebraniach gubernialnych. Jakkolwiek na ogólną liczbę ośmiu członków ma ich być trzech, zatrze to jednak poniekąd charakter biurokratyczny instytucyi. Sposób udzielania pożyczek oraz ich umarzania, w głównych zarysach pozostaje ten sam. Roczny procent ma się pobierać w stosunku $4\frac{1}{2}\%$ od sta, tytułem zarządu $\frac{1}{4}\%$ — wogóle zatem $4\frac{3}{4}\%$. Termin amortyzacyi zawiera się w granicach między 11—66 lat i 6 miesięcy. W pierwszym razie odsetek umarzający wynosić ma 12%, w drugim 5%. Pobierając od swych dłużników $4\frac{1}{2}\%$, sam Bank, jaw wiadomo, płaci od listów zastawnych 5%. Różnicę tę więc wypadnie mu pokryć ze środków przygodnych, w tej zaś liczbie i realizacyą pożyczki premiowej. Z rozszerzeniem operacyj, suma powstała z tej różnicy mogłaby znacznie przekroczyć wolne zasoby Banku. Ale ustawa temu zapobiega warunkiem, na mocy którego suma rocznych wypłat (odsetków i umorzeń) na podstawie będących w obiegu listów zastawnych, premiowanych i nieprzemiowanych Banku — niema przenosić ogólnej sumy rat wnoszonych przez pożyczkobiorców tytułem prowizyi i umorzenia. Stosownie do tego określonem zostaje minimum listów zastawnych, znajdujących się w obiegu, czyli kładzie się kres wzrostowi czynności Banku. Nowa ustawa zapewnia pożyczkobiorcom możliwe ulgi przy wnoszeniu rat, gdyż dopuszcza odroczenia. Odznacza się również przezorności względem niewypłacalnych dłużników: pomiędzy nimi a Bankiem w roli pośrednika może występować „opieka szlachecka“ (dworjanskaja), która ich majątki weźmie na dwa lata pod swój zarząd. Równie też i administracya, zanim orzeknie sprzedaż majątku drogą przetargu, umarzać ma niedobory ciążące na nim za pomocą wydzierżawień lub sprzedaży jego części.

Działalność Banku szlacheckiego rozszerza się o całą spuściznę po smutnej pamięci „Złotym banku“ bez złota, czyli towarzystwie wzajemnego kredytu ziemskiego, które zmarło na niedorozwój swoich członków. Ci członkowie w swoim czasie srodze byli zasmuceni surowymi warunkami likwidacyi, postawionymi przez ministra skarbu. Bank szlachecki, przejmując na siebie winy niedołężnego szafarza kredytu wraz z majątkami zatopionymi przezeń ponad normę przyzwoitą, pozbawić miał ich posiadaczy prawa do dalszego obdłużania się, zachowując równocześnie moc przyjętych uprzednio na się przez dłużników poręczeń solidarnych. Ale na gorące modły pokornych grzeszników nawet niebiosa bywają bezbronne. Obecnie solidarna odpowiedzialność dłużników nie uroni nic z swej mocy, natomiast prośba o prawo dalszego obciążania hipotek nie pozostaje bez skutku. Za jednego rubla złotem płacić będą rs. 1 kop. 38 kredytowych, ale równie sam Bank szlachecki jak i prywatne instytucye kredytowe nie przestaną wyrażać im swego zaufania — dalszą pożyczką... Przywilej ten nie dotyczy byłych członków „Złotego banku“ — nieszlacheckiego namiastu.

Rosya wszedł od pewnego czasu na pole systematycznych reform w zakresie swego życia społecznego. Po przeistoczeniu sądów przysięgłych, powołaniu do życia nwej instytucyi naczelników ziemskich i stworzeniu sądów grodzkich, przyszła kolej na samorząd ziemski. Reforma pod tym względem ogłoszona 30 czerwca st. st. ma na celu wyznaczenie w samorządzie ziemskim wybitnego miejsca „przodującej klasie,“ tj. szlachcie, ściślejsze określenie granic władzy organów ziemstw, poddanie ich nadzorowi wyższej administracyi, którąby kierowała ich działalnością i ujednostajniała ją wmyśl widoków rządu. Pragnie nareszcie nadać postanowieniom ziemstw więcej mocy i stateczności. Według nowej ustawy, cała ludność, mająca prawo uczestniczenia w ziemstwie, dzieli się na trzy grupy. Ilość przedstawicieli (*głasnyj*), wybieranych przez każdą grupę, nie jest w prostym stosunku do rozmiarów posiadłości ziemskiej. Przewagę ma szlachta (z wyjątkiem gubernij wiackiej, permskiej i wołogodzkiej, gdzie własność ziemska szlachecka jest nieznaczna). W reszcie gubernij liczba przedstawicieli od szlachty przdwyższać ma liczbę tychże od dwóch pozostałych grup wyborczych. Wyborcze zjazdy szlachty, mającej wodzić rej w ziemstwach, odbywać się mają oddzielnie od zjazdów innych posiadaczów ziemskich. Zakres władzy i zawiadowstwa ziemstw pozostaje bez zmiany, ale za to gubernatorom nadano prawo protestu względem wszelkich postanowień zebrań ziemskich, wraz z nadzorem nad prawidłowością i lojalnością postępowania instytucyj ziemskich. Gubernator ma prawo dokonywania rewizyj w zarządach ziemskich oraz innych władzach ziemstw. W każdej gubernii powstanie komisya do spraw ziemstw, złożona z przedstawiciela gubernialnego zebrania ziemskiego oraz urzędników: wice-gubernatora, dyrektora izby skarbowej, prokuratora sądu okręgowego, prezesa gubernialnego zarządu ziemskiego lub osoby zastępczej i gubernialnego marszałka szlachty. Zadaniem tej komisyi będzie rozstrzyganie kwestyj spornych, zachodzących w ziemstwach, w tej zaś liczbie i protestów, zakładanych przez gubernatora przeciw postanowieniom ziemstw. W razie sprzeczności mniemania komisyi ze zdaniem gubernatora, ten ostatni przedstawia rzecz ministrowi spraw wewnętrznych, od którego zależy dalszy los sporu wynikłego między administracyjną władzą gubernii a ziemstwem. Na wypadek zgodności zdania ministra ze zdaniem gubernatora, sprawa może wspinać się na wyższe szczeble instytucyi państwowej. Do tej ostatniej magistratury dotrzeć ona może wtedy, jeśli osią jej będzie kwestya wyższego opodatko-

wania ziemskiego. Godne uwagi, że nowe prawo pociąga do odpowiedzialności uczestników samorządu za nieuczęszczanie na zebrania ziemskie. Za powtórne wykroczenie w tej mierze czeka grzywna 75 rs.

Dień stawia dalsze żądania. Nie zadawalają go postępy ruskiego prawodawstwa fabrycznego, szczególnie zamierzone przepisy o zabezpieczeniu robotników od wypadków nieszczęśliwych; do nich należałoby — powiada — dodać jeszcze ubezpieczenie robotnika na wypadek starości, choroby i bezrobocia. Ale i ten zadanie opieki państwowej nad pracą ni zupełnie się wyczerpuje. Radzi więc rządowi, ni mniej ni więcej, tylko wyzyskanie warunków rozwoju przemysłu ruskiego na rzecz klasy roboczej. Przemysł ruski, jak wiadomo, w znacznej części zaszczepiony jest przez kapitały cudzoziemskie. Fabryki, któremi za ich sprawą pokrywają się kresy państwa, południe, Kaukaz itd., należałoby tak urządzić, żeby na tem zyskiwali robotnicy. Przykład nastręczają słynne zakłady Malcewa. Fabryki te, jak wiadomo, przeszły z niefortunnych rąk prywatnych pod zarząd skarbu. Robotnicy dawni wiążą się w artele i wydzierżawiają niektóre z nich od rządu. To właśnie odnośnie do fabryk zakładanych w Rosyi przez obcych kapitalistów powinno służyć za wskazówkę dla państwa. „Niech je cudzoziemcy otwierają, niech za swe kapitały i inicyatywę pobierają procenty, niech im się wrócą z wielkim zyskiem pieniądze zatracone, lecz koniec końców przedsiębiorstwo winno przejść w posiadanie zręcznych, wyćwiczonych i w części wykształconych robotników miejscowych, zdolnych do prowadzenia przedsiębiorstwa na zasadzie arteli. Oto zadanie naszego prawodawstwa fabrycznego, uwarunkowanego właściwościami ruskiego życia, interesami państwa i narodowego przemysłu klasy robotniczej. Ale mogą nas spytać, czemu robimy wyjątek dla cudzoziemców, dlaczego nie postawimy w jednakich z nimi warunkach i ruskich przedsiębiorców? Przeciw równości wszystkich pod tym względem wobec prawa nie mamy nic. Cudzoziemców wzięliśmy tylko za najjaskrawszy przykład. Sądzimy, że ze strony prawa fabrycznego potrzebne jest naszemu robotnikowi i zabezpieczenie od wypadków nieszczęśliwych, starości, choroby i utraty pracy. Robotnik musi być nietylko oświeconą jednostką, lecz i zawodowo wykształconym; powinien żyć w przyjaznych warunkach zdrowotnych i mieć nadzieję wraz z możliwością zostania „artelnym“ gospodarzem tych fabryk, gdzie pracuje.“ Istotnie, byłoby to dopełnieniem prawa fabrycznego, gdyby rada powyższa znalazła uznanie. Szkoda, że nieznany autor szerzej i szczegółowiej nie rozwinął swojego pomysłu *upaństwowienia fabryk*.

Hrabia Czapski w swoim projekcie wolał się zająć raczej *upańszczyźnieniem* oficyalistów wiejskich. Składając w zeszłym roku swój referat kas pomocy dla oficyalistów wiejskich ogólnemu zebraniu Mińskiego towarzystwa rolniczego, zapewne stokrotnie musiał sobie powtarzać: „lepiej *in illo tempore* bywało,“ kiedy to nietylko banków ziemskich się nie znało i robotnika najemnego, lecz miało się oficyalistów z dziada pradziada, trzymających się klamki pańskiej, pełnych cnót psa wiernego. Według życzeń inicyatora zadaniem projektowanej kasy miało być „wynagradzanie oficyalistów za długoletnią a uczciwą służbę,“ ze środków pozostałych skutkiem potrąceń z pensyj i grzywien innych robotników, zapewne „krótkoletnich i nieuczciwych.“ Projektodawca wyraźnie dążył do stworzenia instytucyi „cnototwórczej,“ popierającej lepszych robotników. Najmita, okrzyknięty przez dziedziców za niesumiennego, leniwego i nieostrożnego, będąc systematycznie karany grzywną za te przywary, równocześnie, ku większemu swemu upokorzeniu, miałby się przyczyniać do narastania „funduszu cnót,“ z któregoby korzystał jego towarzysz wyróżniony zaszczytnie z łaski pańskiej. Naturalnie, że ten nawskroś hrabiowsko-feudalny pomysł, jako mocno nie licujący z duchem czasu, a właściwie z zasadami przyjętemi przez dzisiejsze instytucye patronalne, nie zyskał u członków Towarzystwa rolniczego—uznania. Wybrana komisya, w której skład wszedł i sam inicyator, za podstawę swojego projektu przyjęła inną zasadę. Projekt ten, nazwany „ustawą kasy zapomogowo-gratyfikacyjnej dla oficyalistów członków Mińskiego Towarzystwa rolniczego,“ z małemi zmianami został przyjęty na ogólnem zgromadzeniu członków 25 maja b. r. i czeka tylko zatwierdzenia ministeryalnego, żeby następnie mógł już działać. W tej zmienionej postaci kasa ma dwojaki cel: niesienie pomocy oficyalistom i ich rodzinom za pośrednictwem stałych zapomóg lub doraźnych wsparć, oraz nagradzanie za *uczciwą* a *długoletnią* służbę u tego samego przedsiębiorcy rolniczego czyli dziedzica. Środki kasy składać się mają przedewszystkiem z wkładów, które obowiązany jest wnieść każdy członek kasy w stosunku 4% od ogólnej sumy rocznych pensyj, wypłacanych przez niego oficyalistom swoim obojga płci. Przyczem winna być przedstawioną imienna lista oficyalistów, za których się płaci do kasy. Członkowie, sprzyjający kasie, lecz nie okazujący list oficyalistów, obowiązani są wnieść jednorazowo 100 rs. na kapitał zakładowy lub po 6 rubli corok na wydatki. Prócz wpłat częściowych przez członków, środki kasy uzupełniać się mają: procentami od kapitału, grzywnami, dobrowolnemi ofiarami i t. p. Z kapitału zakładowego postanowiono nie wydatkować dopóty, aż nie dosięgnie 50,000 rs. Kapitał rozchodowy, powstający z wkładów rocznych i ofiar ma być rozdzielony w końcu roku pomiędzy uczestników w następujący sposób: 10% wydawane będą w postaci nagród za długoletnią służbę u tego samego chlebodawcy starszym w latach służby; 40% tytułem jednorazowych lub stałych zapomóg dla oficyalistów zniedołężniałych skutkiem kalectwa lub długiej choroby, 40% wdowom i sierotom uczestników kasy, pozostałe zaś 10% doliczane będą do kapitału zakładowego. Brak miejsca nie pozwala nam rozszerzyć się nad szczegółami tej zamierzonej instytucyi, ale, sądzę, że z przytoczonych faktów widać, że ona, jak wiele jej podobnych, nosić będzie wybitne cechy interesów tej klasy, która ją spłodziła.

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Instrukcya dla komisarzy włościańskich.

Komisarze włościańscy otrzymali instrukcyę co do wydawania kwalifikacyj włościanom i mieszczanom-rolnikom, żądającym pożyczek na zakup ziemi z udziałem Banku włościańskiego. Oto są jej ważniejsze punkty: Za osobę polskiego i litewskiego pochodzenia uważać należy poddanych ruskich, zamieszkałych w Królestwie Polskiem, wyznań chrześciańskich i używających w domu języka polskiego lub litewskiego. Osobom polskiego i litewskiego pochodzenia wzbrania się wydawania kwalifikacyj dla nabywania gruntów w następujących miejscowościach: w gub. lubelskiej, w powiatach uznanych za części składowe „Ruskiego zabuża,“ to jest: w chełmskim, hrubieszowskim, biłgorajskim i zamojskim, w pow. janowskim w gminach: Kawęczyn i Chrzanów; w powiecie krasnostawskim w gminach: Turobin, Izbica, Krasnystaw, Łopiennik, Budka i Czajka; w pow. lubartowskim w gminie Ludwin; w gub. siedleckiej w powiatach: bialskim, włodawskim, radzyńskim i konstantynowskim, w pow. sokołowskim w gminach: Sterdyń, Sobno, Olszewa, Karczewa, Jabłonna, Rzepki, Kudełczyn, Wyrozęby; w powiecie siedleckim w gminach Mordy i Krześlin; nareszcie w gub. suwalskiej w gminach: Łabno, Balla Wielka, Wołoniczowce, Kołynka, Kupianki i Piotropawłowsk. Prośby o kwalifikacye mogą być ustne i piśmienne, z dołączeniem postanowienia zebrania gminnego włościan lub mieszczan rolników wraz z poświadczeniem wójta gminy o należeniu do stanu włościańskiego lub mieszczańskiego. Motywowanie odmowy winno być piśmienne.

HURAGAN.

O zniszczeniach trąby powietrznej, dokonanych w Słonimie, *Kuryer warsz.* odbiera następujące doniesienie:

Rozmiary tej klęski są większe, niż to na razie przypuszczano. Straty na miliony obliczać się muszą i będą. Szczęściem jeszcze, iż orkan przeszedł nad nami niezbyt szerokim pasem. Donosiłem w poprzedniej korespondencyi o 10 zabitych osobach. Liczba ofiar jest daleko większa; mnóstwo gdzieś poginęło w czasie huraganu; należy przypuszczać, że znalazły one śmierć dzięki rozszalałym żywiołom. W samym Słonimie runęło ogółem 23 domy, w tem połowa kamienic. Kilka osób znalazło śmierć pod gruzami. Pokaleczonych jest wielkie mnóstwo. Oto jest krótka, acz niezupełna jeszcze lista zabitych mieszkańców Słonima: Konstanty Głębocki, felczer miejscowy, został zabity we własnem mieszkaniu, w kamienicy Popowa, o której runięciu już donosiłem; Chaim Cukierman, właściciel sklepu w tymże domu; siedmioletnia córka jego Sora; włościanin ze wsi Markowszczyzna, zabity został w Słonimie wyrwaną z korzeniami topolą. Reszta ofiar znalazła śmierć w pow. słonimskim. Niebezpiecznie było w czasie huraganu siedzieć w domu, niemniej niebezpiecznie znajdować się na dworze, zwłaszcza tam, gdzie były drzewa. Kamienice w mieście rozpadały się w gruzy. Domy drewniane, zwłaszcza chaty włościańskie, niesłychany wicher porywał z miejsca, przenosząc je daleko, o kilkadziesiąt kroków. Dachy drewniane, a mianowicie słomiane, znajdowano w odległości pół wiorsty. Spustoszenie w zasiewach straszne. Wszystko z błotem i piaskiem zmieszane. Niektóre wsie zostały zupełnie w niwecz obrócone, oprócz wymienionych już w pierwszym liście, znikły prawie z powierzchni ziemi wsie: Kruczki i Klipowszczyzna. Włościanie, do ruiny doprowadzeni, straciwszy odrazu całe swe mienie (gdyż i większa część bydła padła pod walącemi się drzewami) obozują obecnie pod gołem niebem; pomoc jest niezbędna. Ze wszystkich miejscowości powiatu słonimskiego dochodzą nas wieści o mniejszych lub większych szkodach, jakie poczynił huragan czwartkowy, niepamiętny, nieznany u nas wcale. Wskutek uderzeń piorunów w czasie burzy, wybuchło kilka groźniejszych pożarów. Straty jednak, poczynione przez nie, są drobnostką w porównaniu z temi, jakie spowodowała trąba powietrzna.

Redaktor „Prawdy.“ z powodu ciężkiej słabości syna, prosi czytelników o względność dla bieżących numerów pisma, a zwracających się do niego interesantów o cierpliwość.

Wiadomości społeczne. Departament taryfowy przygotowuje szereg rozporządzeń w kierunku popierania przemysłu środkowych gubernij Cesarstwa kosztem fabryk kresowych. Taryfy te wejść mają w życie od d. 1 października r. b. (*Gaz. los.*).

— Muzeum rzemieślnicze, zaprojektowane przez Tow. pop. przem. i handlu, postępuje naprzód. Wyznaczona do tej sprawy delegacya, złożona z pp. Kiślańskiego, Makowieckiego, Karola Szlenkiera, Feista, Szewczykowskiego, Suligowskiego, Rotwanda, L. Dicksteina, Natansona, Pfeiffra, T. Wernera, Br. Wernera, L. Wojny i Koppego — przystąpiła już do opracowania szczegółowej ustawy. Fundusz, którym rozporządza obecnie, wynosi 25,700 rs.

— Pruszków stara się o przeistoczenie siebie w miasteczko. Postać osady, która obecnie mu przysługuje,

wobec rozwoju ekonomicznego, do jakiego już doszedł, okazuje się za ciasną.

— *Now. Wr.* donosi, iż do głównego Towarzystwa przemysłu i handlu wniesiono projekt o ograniczeniu procentowem udziału cudzoziemców w fabrykach krajowych.

— Pewne grono fabrykantów petersburskich i moskiewskich zaniosło do ministerym skarbu prośbę o przyspieszenie postanowienia w sprawie asekuracyi rządowej robotników od wypadków nieszczęśliwych.

— Wiktor Brodzki podał do włoskiego ministeryum rolnictwa przemysłu i handlu relacyę i fotografię swego „Wiktoryostatu,“ które poparte tam zostały zaleceniem „bardzo wysokiej osoby.“ (*Kur. warsz.*).

— Stowarzyszenie majstrów stolarskich w Kielcach z powodu małych obrotów z końcem r. b., będzie rozwiązane. Zyski jego są tak małe, iż nie pokrywają nawet kosztów utrzymania zarządu i wynajętego sklepu.

— Rada państwa zatwierdziła żądane przez ministra skarbu kredyty na regulacyę rzek: Dniepru pod Kijowem 60,000 rs., pod Kremieńczugiem — 60,000 rs., Desny — 17,000 rs., Prypeci — 17,000 rs. i Soży — 15,000 rs.

— Irtysz, jak donoszą *Sybirskie Wiedomosti*, wylawszy ogromnie około przystani Ubińskiej górnej, zmył około 20,000 pudów rud srebrno-ołowianych i miedzianych.

Szpital Dzieciątka Jezus, po przeniesieniu go na folwark Świętokrzyzki, nosić będzie nazwę „Aleksandrowskiego,“ poprzednia zaś nazwa pozostanie tylko dla domu podrzutków.

Gorzelnie wiejskie będą miały względem opieki państwowej pierwszeństwo. Od dnia 13 b. m. wzbronione zostaje zakładanie nowych gorzelni po miastach. Zakaz obowiązuje także towarzystwa akcyjne, o ile w ustawach ich nie jest prawo budowania zastrzeżone. Wszystko to zmierza do rozwoju gorzelnictwa wiejskiego, a zatem do poparcia upadającego rolnictwa. Ubywa więc jeden powód do utyskiwań pp. ziemian.

Komendy żandarmsko-policyjne na większych stacyach kolejowych postanowiono zwiększyć.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Mich J. w J. Wyrażenie: „czy można mnie pić herbatę,“ jest wądliwe.

Studentowi prawa. Wyrażenie: „man muss leben und leben lassen,“ jest przysłowiem, sięgającem w przeszłość dalej, niż dzieła Schillera. Ściśle wszakże rodowodu tej maksymy oznaczyć nie umiemy.

Sprostowanie. W nr. 29, w dalszym ciągu artykułu „Kartka z dziejów fanatyzmu“: str. 340, szp. 2, w. 4 od góry, zam. „wileńskim,“ czytaj *wieluńskim*; w. 6 — zam. „Jagieły“ — *Jagiełły*; str. 341, szp. 1, w 24 od dołu — zam. „eus perpectissimum“ — *ens perfectissimum.*

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 13 Іюля 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.